CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 20 GR.

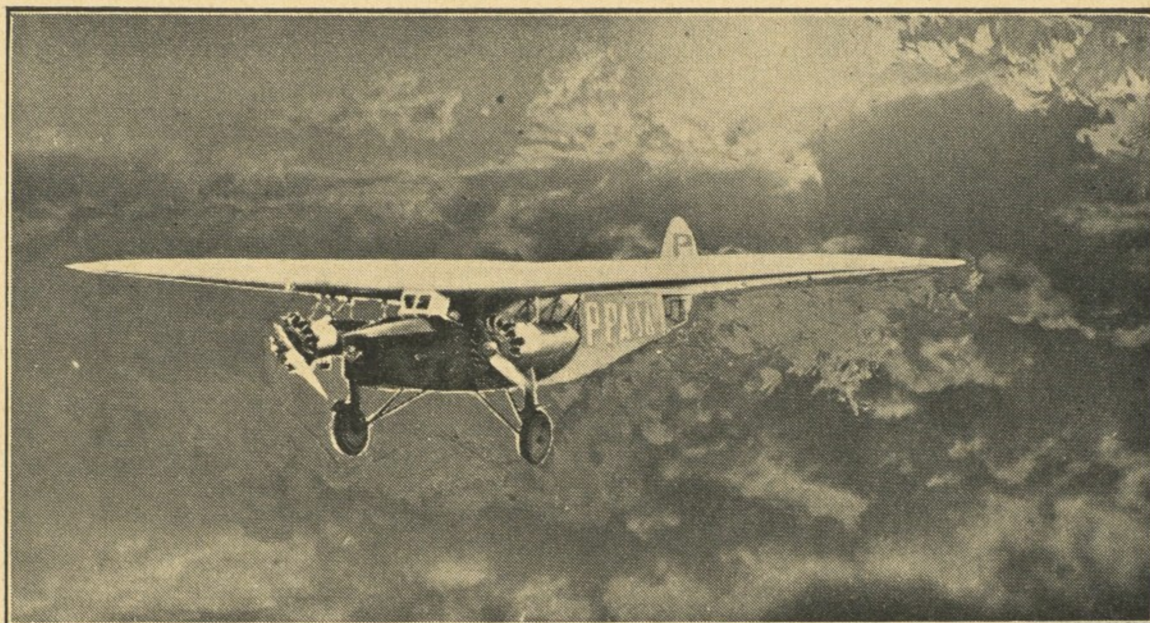
ROK XXIII

ŚWIAT

№ 24

WARSZAWA, DNIA 16-go CZERWCA 1928 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO


Trzymotorowy samolot Fokkera w powietrzu

POD SZAREM NIEBEM HOLANDJI

MIASTA NIDERLANDZKIE. — ULICE, KANAŁY I MOSTY. — DZIELNICA ŻYDOWSKA. — W SZLIFIERNI DIAMENTÓW. — SPOTKANIE Z POLSKIM LOTNIKIEM.

(Od własnego korespondenta „Świata").

Jeśli Włochy mają piękne miasta — każde o swoistym charakterze, łączące wspaniałą architekturę ze wspanialszą jeszcze przyrodą, jeśli Francja szczyci się swemi grodami historycznemi, pełnemi zabytków przeszłości i arcydzieł sztuki, jeśli Niemcy słyną z czystości miast, a Anglja z wzorowego wygodnego i komfortowego ich urządzenia — to miasta holenderskie — wielkie, średnie i małe — łączą w sobie wszystkie te zalety i stanowią idealne niemal siedziby ludzkie. Króluje zaś wśród nich bogactwem, rozmiarami, ożywieniem i elegancją — Amsterdam.

Składały się na to wieki całe, ale i teraźniejszość uczestniczy we wznoszeniu jego wielkości. Dzień w dzień przybywają do portu olbrzymie okręty, z których żelazne ramiona dźwigów wynoszą do składów nadbrzeżnych wory kawy, ryżu, cukru, kakao, skrzynie herbaty czy tapioki, bele bawełny i t. p. produkty masowej konsumcji, rozchodzące się po całym kontynencie europejskim. Zyski z tego olbrzymiego obrotu — z przewozu, handlu, przeładunku, z rozdziału na mniejsze partje, częściowej przeróbki i przystosowania do potrzeb i gustów poszczególnych krajów — wsiąkają w miasto, położone między ziemią i morzem i mające tyleż ulic, co i kanałów. 346 mostów najróżniejszego typu: zwodzonych, rotacyjnych, rozsuwanych, wygiętych w kabłąk, — istnieje w jego obrębie i najlepiej świadczy o charakterze Amsterdamu. Możnaby go uznać za „Wenecję Północy", gdyby tyle innych



Charakterystyczny widok z Amsterdamu

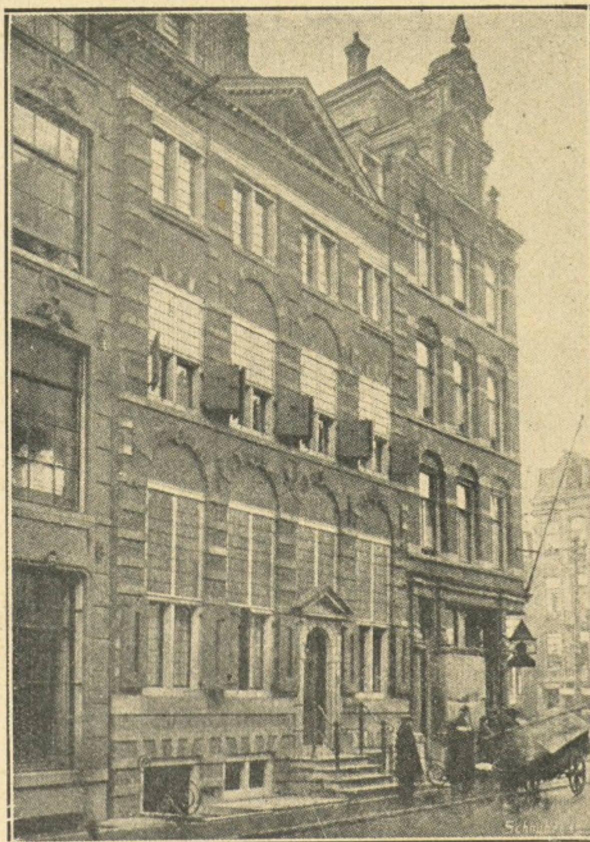
miast nie pretendowało do tej nazwy.

Zresztą dumny Amsterdam wcale się o nią nie ubiega. Piękno jego pałaców, kościołów, muzeów, giełd, teatrów, hoteli, parków, skwerów i kanałów jest inne, niż nad Adrjatykiem, wcale nie mniejsze; a obfitość zieleni, tętno życia i zadziwiająca czystość równoważy poezję Południa. Tej tu brak.

Wygląd miasta jest nieco surowy, protestancki, kupiecki. Szare niebo zwisa nad wodami, nadając im stalowy koloryt. Czerwona, poczerniała cegła budowli nie ma tego ciepła, co miękki kamień lub marmur. Przechodnie nie idą spacerowym krokiem i nie grupują się po trotuarach; pędzą oni na rowerach za swemi sprawami, zręcznie wymijając samochody i tramwaje. Ilość cyklistów jest uderzająca i nadaje ulicom Amsterdamu i całej Holandji zupełnie swoisty wygląd. Zawdzięcza się to doskonałym brukom asfaltowym, wszędzie istniejącym urządzeniom do zostawiania rowerów, a przedewszystwiem pewności, że one nie zginą.

Od płynności ruchu głównych arterji komunikacyjnych Amsterdamu rażąco odbija innego rodzaju ożywienie, panujące w dzielnicy żydowskiej. Zajmuje ona obszerną przestrzeń na północny zachód od Weesperlein po obu stronach Weesperstraat, ma centrum najbardziej charakterystyczne na Waterlooplein i otaczających go uliczkach. Mimo święta chrześcijańskiego, obchodzonego w Holandji, w tej dzielnicy wszystkie sklepy otwarte, tysiące kramów i wózków wyprzedaje towar pod gołem niebem; pod bramami domów pozasiadały stare żydówki, jakby wprost przeniesione z Grzybowa czy Muranowa; młodzi subjekci, agenci i tragarze stoją grupkami, krzycząc i gęstykulując zawzięcie; wszędzie uwijają się zasmarkane kędzierzawe „bachury", nawet młodzież szkolna, grająca w futbol na placu Waterloo, jest kubek w kubek podobna do naszej „Makabi". Śmiecie, odory nieprzyjemne i brudy tu nawet towarzyszą tej ludności; ani obfitość wody, ani przykład otoczenia nie może przezwyciężyć tradycyjnych nałogów.

Wchodzimy do sklepu, by kupić parę pocztówek, których w innych dzielnicach z powodu święta nie mogliśmy nabyć. Kupcowa bierze nas za współwyznawców i częstuje literaturą judaistyczną po hebrajsku, oraz objaśnia, że tuż obok znajdziemy nową synagogę. Istotnie okazały gmach z Gwiazdą Dawida wznosi się przy Jonas - Daniel - Meijerplein, bo nawet nazwy ulic są tu pochodzenia żydowskiego. Ba, sąsiedni kościół katolicki jest pod wezwaniem Mojżesza i Arona! Ale nas najbardziej interesuje „Rembrandthuis" — Dom Rembrandta, w którym mistrz zamieszkiwał przez dwadzieścia przeszło lat. Zamieniono go niedawno w muzeum, posiadające największą kolekcję akwafort oryginalnych Rembrandta i wielką ilość kopji z jego obrazów i rysunków.



Dom Rembrandta w dzielnicy żydowskiej

Z żalem opuszczamy wąskie uliczki Jodenbuurt o trzyokiennych kamienicach hanzeatyckich, pochylonych naprzód tak znacznie, że — zdaje się — runą natychmiast i zasypią gnieżdżącą się w nich biedotę. Żydzi bowiem, stanowiący 10% ludności Amsterdamu (70.000 na 750.000), są najuboższą w swej masie warstwą. Niegdyś zajmowali się głównie szlifierstwem brylantów po małych warsztacikach. Wskutek jednak kryzysu, jaki dotknął tę gałęź przemysłu, rujnując drobnych szlifierzy, musieli przerzucić się do innych zajęć. Ale w wielkich szlifierniach, pracujących mechanicznie i fabrycznie, stanowią dotychczas *gros* robotników. Zresztą właściciele ich — miljarderzy, też wywodzą się z żydów. Mieliśmy sposobność zwiedzić jeden z takich zakładów — wytwórnię Asscher'a i stwierdziliśmy, że przedstawia ona bajeczny wzór połączenia sztuki szlifierskiej ręcznej z mechanicznemi urządzeniami. Niezmiernie precyzyjne maszyny współdziałają tu z dokładnością idealną oka i ręki ludzkiej w obrabianiu malutkich diamentów. Tysiące mężczyzn, kobiet i dziewcząt, pochylonych nad stołami i narzędziami dziwacznemi, nadaje cennym kryształom piękne formy geometryczne, nieraz aż o 58 wypolerowanych powierzchniach.

Najbardziej urodziwą pracownicę, zupełnie o hiszpańskim typie, zapytujemy, ile też już obrobiła diamentów.

— Nie wiem, ale sądzę, że około tysiąca.

— I nie przykro pani, że żaden z tych brylantów nie zdobi jej pięknej szyi czy palców.

— Bynajmniej — odpowiada bez zażenowania—mam znacznie większe, a tak ogniste, że nikt nie pozna, iż są sztuczne, chyba sam p. Asscher.

Wychodząc z tej fabryki, olśniewającej czystością, widnej i doskonale przewietrzanej, poznaliśmy przypadkiem p. Smits'a, sze-

fa propagandy zakładów lotniczych Fokkera.

— Panów, jako Polaków — oświadczył nam — zainteresuje z pewnością wielki trzymotorowy aparat, który sporządziliśmy specjalnie dla Polski do lotów dalekich, choćby transatlantyckich.

Umówiliśmy się nazajutrz w aerodromie amsterdamskim. Położony jest on daleko za miastem w miejscowości Schiphol i doskonale przystosowany do potrzeb komunikacyjnych. Niewielkie budynki stacyjne, ozdobione wieżą obserwacyjną, zawierają wszelkie przyrządy i urządzenia do badań meteorologicznych, połączeń radjowych, sygnalizacji świetlnej i t. d. Wygodne hangary mogą pomieścić kilkadziesiąt samolotów. Firma Fokkera posiada tu osobne pomieszczenie.

Na lotnisku spotkaliśmy por. Szałasa z Instytutu badań technicznych lotnictwa w Warszawie, który przybył do Amsterdamu wraz z por. Kaliną i sierżantem - mechanikiem Kłosinkiem po odbiór wielkiego aparatu, zbudowanego specjalnie dla Polski.

Por. Szałas, zgrabny, przystojny mężczyzna, ubrany w skórzaną kurtkę, mimo młodego wieku poważny, zwarty w sobie, jakby z bronzu odlany, robi jaknajlepsze wrażenie: wzbudza zaufanie i sympatję.

Pokazuje nam swoją maszynę, już zupełnie gotową i udziela objaśnień. Jest to kolos o trzech motorach: środkowym i dwóch przywieszonych pod skrzydłami. Cały kadłub zrobiony ze stalowych rur, obciągnięty płótnem, skrzydła drewniane, kryte dychtem. Zabrać on może 4040 litrów benzyny, której 7 zbiorników rozmieszczono nietylko wewnątrz kadłuba, ale też w skrzydłach, pod siedzeniem pilotów, wszędzie, gdzie się dało. Taki zapas benzyny pozwala przedsięwziąć długie, kilkudziesięciogodzinne loty, bez lądowania. Aparat wyekwipowany jest we wszystkie przyrządy do nawigacji powietrznej, ma 3 kompasy, sekstans do pomiarów, radio, telefon wewnętrzny, oświetlenie do nocnych lotów, mapy nieba, klapy obserwacyjne do góry i ku dołowi, słowem, wszystko, czego wymaga podróż powietrzna.

— Czy panowie już próbowali lotów?

— Naturalnie — mówi porucznik — robiliśmy kilkanaście prób. Przecież siedzimy tu już prawie dwa miesiące. Aparat działa doskonale. Mamy też zamiar wkrótce odlecieć do Warszawy.



Targowisko uliczne u stóp Waaggebouw (Muzeum, poświęcone dziejom Amsterdamu)

— Czy można wiedzieć, jakie jest przeznaczenie tego olbrzyma?

— Przygotowany jest on do dalekich lotów. Ale dokąd pojedziemy na nim, jeszcze nie wiemy. Wolimy naprzód coś zrobić, a później rozgłaszać po świecie. Przecież tyle rozreklamowanych przedsięwzięć skończyło się fiaskiem.

— Czemu panowie wybrali typ Fokkera?

— Buduje on aeroplany z materjałów, jakie posiadamy w kraju i dzięki temu możemy sami ten typ wytwarzać. Nawet Fokker używa sosnowieckich rur stalowych.

— Czy to duża wytwórnia?

— Posiada on fabrykę w Amsterdamie i dwie w Ameryce, ale żadna z nich rozmiarami nie dorównywa Plagemu i Laśkiewiczowi. A przecież w kraju mamy cztery fabryki aeroplanów. Nie stoimy tak źle w lotnictwie, jak sądzą powszechnie. Trzeba tylko dotrzymywać kroku innym państwom.



— Jakie to są silniki? — pytamy.

Wszystkie trzy motory są konstrukcji amerykańskiej, takie same, jakiemi posługiwał się Lindberg.

— Czy trzech panów wystarczy do prowadzenia takiego kolosu?

— Jest to praca ciężka. To też ja i por. Kalina, jako piloci, musimy się zmieniać u steru. Najtrudniej oderwać się od ziemi, aby unieść ten ciężar 6500 kl. Niebezpieczne jest też lądowanie z taką machiną, zwłaszcza, gdy się nie zna terenu. Ale por. Kalina z Central. Warsz. lotnictwa jest doświadczonym pilotem. Ja zaś mogę go w każdej chwili zastąpić, nadto jestem wyszkolonym nawigatorem powietrznym. Sierżant Kłosinek, jako mechanik, musi wciąż czuwać nad sprawnością maszyny, ale największą ma pracę po wylądowaniu, by wszystko sprawdzić, opatrzeć, doprowadzić do porządku. We trzech damy sobie radę.

Uścisnęliśmy dłoń dzielnemu lotnikowi, życząc mu szczęścia w podróży do Warszawy, a następnie w wielkim locie, który z towarzyszami zamierza przedsięwziąć, a którego celu nie chce przedwcześnie zdradzić.

I mieliśmy już wspaniałą wizję olbrzymiego ptaka żelaznego z polskiemi znakami i barwami, wzbijającego się wysoko pod szare niebo Holandji.

W. Giełżyński

Amsterdam.



Budynek restauracyjny na Wystau ie w Kolonji

O SZTUCE URZĄDZANIA WYSTAW

(Od specjalnego korespondenta „Świata").

Kolonja, z początkiem czerwca.

Obejrzawszy trzy wielkie wystawy, zorganizowane obecnie w Niemczech, a więc wystawę miasta technicznego w Dreźnie, wyżywienia w Berlinie i największą z nich, międzynarodową wystawę prasową w Kolonji, i przypomniawszy sobie to i owo z wystaw, które się poprzednio w życiu oglądało, wolno sobie zadać pytanie, na czem sztuka urządzania wystaw polega. Symplistyczny pogląd, że chodzi tu o zgromadzenie szeregu ciekawych, nieznanych przedmiotów, upada sam przez się, gdyż wystawa nie jest bric-à-brac rzeczy pojedyńczo nawet zasługujących na największą uwagę, lecz niepowiązanych ze sobą żadną wspólną, mocniej zaznaczoną myślą.

Wystawia się nie poszczególne przedmioty, lecz pewną całość. Wystawia się pewną myśl konstrukcyjną, która stanowi podstawę wystawy, pewien całokształt informacji, pewne tendencje propagandystyczne, plastycznie zaznaczone. Wystawia się własną kulturę, reprezentowaną w jednym z jej działów, własną żywotność, własny zmysł organizacyjny. Dopiero na tem tle, ściśle pomyślanem i konsekwentnie przeprowadzonem, poszczególne przedmioty nabierają znaczenia, wbijają się w pamięć, jako szczegóły zwartej konstrukcji.

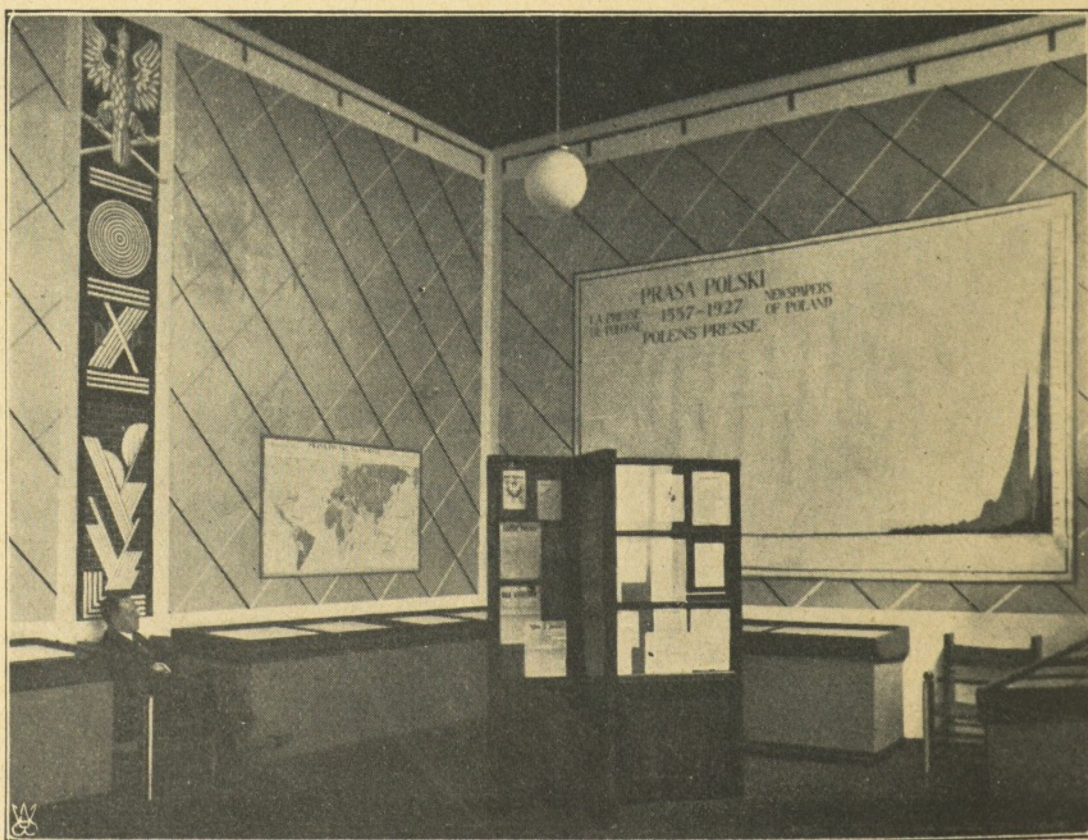
Wystawia się wreszcie nietylko samą wystawę, lecz otoczenie najbliższe, miasto, które stanowi jej siedzibę, kraj, dobór i harmonję wszystkich tych czynników. Wystawa miasta technicznego w Dreźnie zapoznaje nas z uśmiechniętemi pałacami królów saskich, ze spokojnym wdziękiem uroczych zakrętów Łaby, z zielenią i ciszą jej brzegów. Wystawę wyżywienia pokazują nam w Berlinie. Wiadomo, Berlin; Betrieb, amerykanizacja, wzrastające tempo życia.

„Pressa" rozłożyła się na brzegu Renu, między dwoma olbrzymiemi mostami, naprzeciw miasta, przytłaczającego wszystko tumu, nowoczesnych gmachów i hoteli i małvch, kolorowych, wesołych domków Heumarktu o dachach śpiczastych, przypominających czepce wieśniaczek. Z cichych, białych sal wystawy patrzymy na szeroki tutaj, pracowity, rozważny Ren. A w nocy powstają przedziwne harmonje świateł, linje płomienne i konstelacje na brzegu, na którym znajduje się wystawa, las punktów świetlistych po stronie miasta, jasne zabawki — tramwaje i koleje elektryczne — na brzegach i mostach — i tajemnicze, strzeliste oświetlenie tumu.

...Mamy mówić o myśli przewodniej wystawy, o jej konstrukcji. Rozważania te w tym wypadku możnaby zamknąć między dwoma krańcami, między informacją i propagandą.

Niemcy są nieznużonymi pracownikami, genjalnymi, można powiedzieć, technikami informacji sumiennej, drobiazgowej, tak wszystko obejmującej, że aż przybierającej kolosalne rozmiary. Na to, aby obejrzeć szczegółowo wystawę wyżywienia w Berlinie, trzebaby trzech dni. Na zwiedzenie szczegółowe Pressy trzebaby conajmniej dni dziesięciu, i to bardzo pracowicie spędzonych — i kompetencji w tak rozmaitych, wystawionych tam a powiązanych wspólną myślą i przeznaczeniem dziedzinach.

Niemcy sami, główni organizatorzy i gospodarze wystawy, informują o sobie, w sposób przemyślany, precyzyjny, plastyczny. Zaznajamiają szeroką publiczność z organizacją redakcji, administracji i działu ogłoszeń, z biurami korespondencyjnemi, z ajencjami, dostarczającemi pismom materjałów,



Oddział polski na Wystawie Prasy w Kolonji



Egipcjanie u stołu: poglądowy obraz na Wystawie Kucharskiej Fot. Max Treder

z dziejami swojej pracy, z usługami, które jej oddaje poczta, kolej itd., z wytwórczością papieru i różnorakich maszyn drukarskich, z produkcją książek, z rysunkiem, ilustracją, fotografją, oddanemi na użytek prasy.

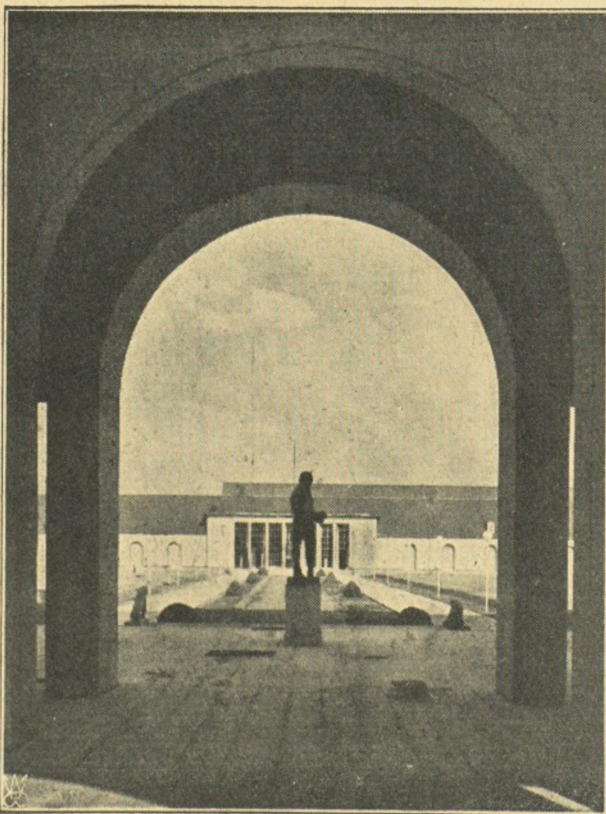
A w całej tej masie podanego objektywnie materjału tu i ówdzie propagandystyczne podkreślenie. Więc plastyczna mapa Niemiec i mały rów w niej — t. zw. kurytarz. Mapa, uzmysławiająca rozmieszczenie ludności niemieckiej na świecie przy pomocy lalek. W środku pawilon niemiecki, a tuż koło niego, lecz już z zewnątrz, Niemcy, mieszkający w Austrji, w Czechosłowacji, w Polsce.

Propaganda... Uprawiają ją również Węgrzy w swoim dziale, dobrze i energicznie urządzonym. Skarżą się na to, że nowe granice odcięły od nich rodaków i uniemożliwiły z nimi kontakt.

Wystawy francuska i austrjacka wstrzymują się od propagandy, nacisk kładą na przeszłości, na historji. W salach francuskich, urządzonych z wielkim smakiem, mamy m. in. bogatą kolekcję prasy z czasów Wielkiej Rewolucji, dzienników, wydawanych przez Marata, Kamila Desmoulinsa, dokumenty, opowiadające nam o ich życiu i śmierci. Równie bogatym jest dział prasy z lat 1870 i 1871.

Anglja i Stany Zjednoczone są nonszalanckie. Parę szczegółów, ogłoszeń, wielkie maszyny drukarskie w dziale amerykańskim — i niewiele materjału, dostarczonego przez samych organizatorów tych działów. Wszyscy nas znają, a kto jeszcze nie zna, niech przyjedzie i zobaczy.

Holandja, Szwajcarja, trzy państwa skandynawskie uprawiają innego rodzaju propagandę — informacyjno-turystyczną. Informują w sposób wzorowy pod względem plastyki i przejrzystości o swoich stosunkach politycznych, o różnorodności, wielkości i charakterze prasy, o pięknie krajobrazów, o dogodności połączeń komunikacyjnych, o głównych gałęziach produkcji, o najważniejszych czynach swoich na polu historji i kultury. Zwiedzający otrzymują katalogi, przewodniki, ilustracje, rozkłady jazdy. Niejeden turysta, niejeden kupiec powziął decyzję, oglądając te działy.



Dziedziniec Wystawy Prasy w Kolonji

Rosja produkuje w swoich salach apokaliptyczną wprost propagandę polityczną. Wszystko tu jest w ruchu, ruchu chaotycznym. Światła rozbłyskują, biegną, gasną. Pasy papieru z tytułami gazet przesuwają się bez przerwy. Litery niezliczonych propagandystycznych napisów zdają się niecierpliwić, chcą opuścić konstrukcję zdań, w którą je wtłoczono. Ataki na carat w formie rysunków symbolicznych i statystyk — ustawiczna apoteoza, reklama rządów komunistycznych. W tym chaosie, zgiełku, ruchu, wrzawie barw trudno ogarnąć całość, zebrać szczegóły, spróbować je sprawdzić i porównać. Może właśnie o to chodzi, aby propagandą po mistrzowsku zgiełkliwą i jarmarczną przysłonić rzeczywistość; ukryć niejedną potemkinadę cyfr, tabel, twierdzeń i wezwań.

Dział polski na wystawie jest oazą ciszy, a zazwyczaj pustki. Czasem ktoś wejdzie, rozglądnie się — i w pół minuty potem wyjdzie. Sprawdziłem to wielokrotnie z wielką przykrością. Zwiedzający

ma ze swego punktu widzenia słuszność. Nic go do tej wystawy nie przyciąga, nic go nie zatrzymuje, niemal nic nie stara się w sposób nowoczesny, wśród tylu i tak niebezpiecznych rywalizacji, poinformować, zainspirować. Na ścianach metry całe przestrzeni zajęte są przez wycięte tytuły pism, takich, które, jak znawca tych spraw może stwierdzić, wychodzą, przestały wychodzić, lub też nawet ukazały się tylko kilka razy. Gablotki z ciekawemi pismami z lat 1831 i 1863 — a wszystkie inne podobnie — nie zostały zaopatrzone ani jednym napisem wyjaśniającym, nawet polskim. Wykresy, z pewnością pracowite i sumienne, są mało interesujące i nieaktualne, a objaśnienia pisane są tak drobno, że trzebaby lunety albo drabiny, aby je odczytać. Swój wie, że nagromadzono tu — bez realnej myśli podstawowej i bez znajomości techniki wystawowej i psychologji zwiedzającej publiczności — szereg ciekawych przedmiotów, w których Polak, znający te rzeczy, mógłby się zorjentować po paru godzinach cierpliwego szukania. Dla obcego, który nie ma czasu i który przyzwyczajony jest do tego, że prowadzi się go za rękę i zarzuca informacjami, jest to bezładna kupa nic nie mówiącego papieru i szpargałów.



Czasopisma urzędowe, komunalne, urzędnicze polskie na Wystawie w Kolonji

Stwierdzić to należy otwarcie, z pełnem przekonaniem i ze smutkiem: dział polski na wystawie prasowej w Kolonji nie spełnił swego zadania, nie przyniósł pożytku, stanowi memento, że do tego rodzaju pracy przystępować należy z zupełnie innym zasobem znajomości metod wystawowych, z innym kapitałem energji i środków. Reprezentacja kultury polskiej przez dział dobrze urządzony przynosi pożytek. Dział zły bywa nieraz gorszy, niż nieobecność.

Jedni na tej wystawie informują. Inni zapraszają do siebie. Inni — Niemcy — mówią o naszych ziemiach, o Górnym Śląsku, Pomorzu. My nie odpowiadamy, nie mówimy nic, a jeśli się odezwiemy, to niedosłyszalnym, nudnym śmiertelnie szeptem.

Włodzimierz Jampolski

PROCESJA BOŻEGO CIAŁA W ŁOWICZU



P. Prezydent Mościcki prowadzi celebransa uroczystości



Łowiczanki w pochodzie z obrazem Matki Boskiej



(Z wiosennych polowań na kaczory)

Noc w Kureniu

Zmierzch zgęstniał, krikucha przestała kwakać. Wychynęliśmy się z gęstwy zieleniejących łóz, Wasyl wrzucił krikuchę do koszyka, pozbierał zabite kaczory. Wracamy na Cholczę. Po drodze kaczki rwą się wciąż z hałaśliwym łopotem skrzydeł, po ciemku jednak strzelać trudno. Jestem bardzo znużony wielogodzinnem siedzeniem na wąskiej i niskiej ławeczce. Rozłożyłem się więc, jak przystało staremu sybarycie, na dnie łódki, Wasyl nakrył mnie po ojcowsku peleryną i derkami, dbając, by nie moczyły się w wodzie. Jasna, żółta kula pełnego księżyca złoci lekkie zmarszczki Bobriku

Suniemy cicho. Zrzadka i lekko pluśnie czasem wiosło. Noc przesiąknięta chłodną, dojmującą wilgocią. Gdy podnoszę ociężałe powieki, zmożony sennością, kępy łóz zmieniają się w mistyczne ogrody, zawieszone na bezkresnych wodach. Ach, wypatrzeć łakomie to niewysłowione piękno nocy księżycowej, wchłonąć je głęboko w duszę, zamknąć w skarbcu najcenniejszych wspomnień, nie uronić nic!...

Już łożysko rzeki się rozszerza, majaczą prostokątne ściany kurenia. Cholcza! Z pośród kęp wynurza się łódź Ejsmonda. Razem wyskakujemy na skrawek lądu.

W kureniu tli się wątły ogień. Stary brodaty rybak siedzi na skrzyżowanych nogach i dorzuca lichych gałązek. Opodal, na wiązce zeschłych trzcin i oczeretów, wsparła się młodziutka dziewczyna; wolno i w milczeniu żuje czarny chleb. Nie poruszyła się na nasz widok, nie odpowiedziała na pozdrowienie: tylko ciemne oczy śledzą nas uważnie i niespokojnie.

Rybak, człowiek bywały, chętny jest do rozmowy. Spotykaliśmy się już z nim na tych wodach i wie on, że spotkanie zawsze jakąś drobną korzyść przyniesie. Nasi wioślarze rozpalają szybko sute ognisko; woda grzeje się w kociołku. Wyciągnęliśmy z walizki suchą kiełbasę, chleb, masło. Na patelni smażą się jajka. Ledwo łyknęliśmy wódki, już myśliwska kolacja gotowa.

— To wasza córka? pytam starego.

Rybak uśmiechnął się życzliwie i odpowiada po białorusku.

— Wnuczka, pane! Córka mojego syna On w domu, febra go trzęsie. Prosiła, żeby wziąć ją na ryby, roboty teraz nie ma... Ot i wziąłem!

— Ile ma lat?

— Czternaście skończyła.



Na rozlewach Bobriku

Wtrąca się Ejsmond.

— Za mąż ją wydać!

Rybak i wioślarze rechocą przypochlebnym śmiechem.

— Gdzież za mąż! Dziecko jeszcze.

Dziewczyna słucha, jak gdyby nie o niej mówiono. Blada twarzyczka nie drgnęła.

Dzielimy się jadłem z rybakiem. Dla wnuczki odkroiłem kawał kiełbasy. Wzięła z rąk dziada, zawahała się, wreszcie ugryzła. Nie podziękowała mi nawet spojrzeniem.

Wasyl melduje:

— Herbata gotowa.

— Napijecie się?

Staremu rozjaśniła się pomarszczona twarz. Gorąca herbata — z cukrem! — to nektar, najskwapliwiej pożądany w te noce wilgotne i zimne Nie wkłada cukru do szklanki. Odgryza po kawałeczku. Twarde i zdrowe zęby ma ten sędziwy pińszczuk. Każdy kąsek popija z wyraźnem zadowoleniem. Wasyl podaje szklankę dziewczynie. Spojrzała pytająco na dziada.

— Wypij dziecko, rozgrzejesz się.

Ogień trzeszczy wesoło, rzuca na nasze twarze czerwone odblaski. Ściany toną w mroku, poprzez wylot w dachu widać gwiazdy. Ciszę przerywa głuche stękanie bąka, który żeruje w pobliżu i błędne jazgoty kurek wodnych, uganiających się rozpustnie tuż pod kureniem.

— Jak wam się udał połów?

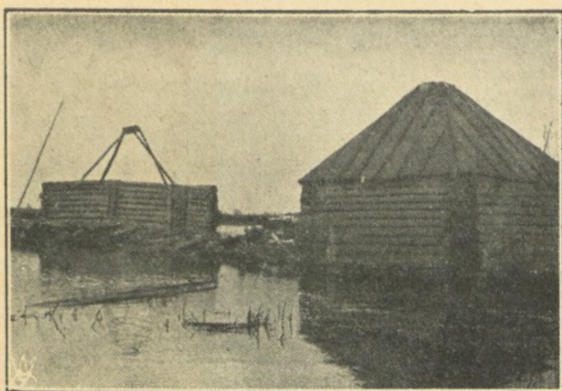
— Ryby teraz mało, odpowiada stary. Nie to, co kiedyś bywało, pane! Drobiazg! Dawniej często trafiały się wielkie sztuki, a raz to ja sam wyciągnął takiego suma, co dłuższy był odemnie o pół metra!

Chłop jest wzrostu wysokiego. Do djabła! Toż byłby istny potwór!

— Jak Boga kocham, pane, ożywia się rybak. Kiedy zaczął się ciskać w sieci, my chcieli uciekać; wydawało się, że to nie ryba, a zły duch. Ale opanowali my strach, owinęli go mocno siecią i wreszcie wciągnęli do łodzi. Pane, toż to był okaz! Cały Pińsk zleciał się, gdy my go przywieźli.

— I dużoście otrzymali pieniędzy?

— Ta nie my, pane... Ryba należy do kupca żydowskiego, który dzierżawi prawo połowu. W do-



Kureń na Cholczy

larach płaci czynsz. A my łowimy dla niego...

Dziewczyna odstawiła pustą szklankę, wzrok znowu utkwiła w dziadka. Słyszała pewno nieraz to opowiadanie, usłyszy je jeszcze wiele razy, powtarzać je będzie swym dzieciom i wnukom, jako fakt historyczny swego rodu...

Ogień dogasa, Ejsmond drzemie w swym kącie. Czas spać. Ułożyłem się na przygotowanej przez Wasyla podściółce. Stary rybak, nie rozkrzyżowując nóg, oparł się plecami o ścianę, przymknął oczy. Dziewczyna już śpi. Nasi wioślarze rozpostarli się przy drzwiach. Niebawem zaczynają bujnie chrapać; rybak towarzyszy im chrapliwym basem, dziewczyna cieniutkim poświstem. Na jeziorze bąk stęka głucho i boleściwie, za ścianą kurki wodne szaleją w chichotach i gonitwach... Już zasypiam, gdy piekielny łopot tysięcy skrzydeł budzi mię z odrętwienia. Zrywam się, machinalnie szukam fuzji... Nie, to nie kaczki, to nasi przewoźnicy tak zachrapali.. Dziewczyna jęknęła zlekka... I znów cisza, cisza zagadkowa, pod którą tai się nocne życie pustkowi wodnych...

A gdy wreszcie zasnąłem twardym snem, Wasyl dotyka mię żylastą dłonią.

— Już pierwsza, pane! Pora jechać!

Wychodzimy z Ejsmondem przed kureń. Złota kula księżyca zwiesza się niżej. Gwiazdy świecą równym blaskiem. Umilkły wszystkie dźwięki i głosy. Jezioro i rozlewy pogrążone w śnie głębokim. Łódki odrywają się od brzegu. Brzask dnia musi nas zastać daleko...

. . . .

Rankiem, koło dziewiątej spotykam w kanale rybaka. Na przodzie łódki siedzi blada dziewczyna o ciemnych oczach, milcząca, hieratyczna.

— Dużoście ułowili?

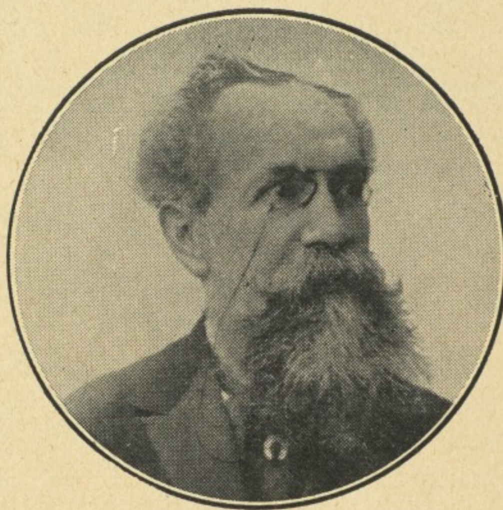
Stary mruczy niechętnie...

— Nic niema. Zimno. Jeden mały okoń i karasek... Razem będzie pół funta... *Stefan Krzywoszewski*

KSIĘGARZ I POETA

Z powodu 25-lecia zgonu ś. p. Henryka Merzbacha

Drobna już garstka działaczy i promotorów ruchu narodowego z epoki przedstyczniowej roku 1863, jaka się szczęśliwie do dni naszych uchowa'a, pamięta niewątpliwie sympatyczne rysy młodzieńca, który po ukończeniu studjów uniwersyteckich i zawodowych — jako księgarz — pojawił się w roku 1861 na bruku warszawskim i tu, na Krakowskiem Przedmieściu, do spółki z doświadczonym bibliomanem, ś. p. Ludwikiem Polakiem, założył wprost Resursy Obywatelskiej małą księgarnię, z zamiarem utworzenia w Stolicy b. Królestwa nowej, przedtem nieznanej, placówki — wytwornego składu ozdobnych wydań poetów swojskich i zagranicznych.



Ś. p. Henryk Merzbach

Była to epoka, gdy potężna dziś firma Gebethnera i Wolffa zaledwie pierwsze zaczęła rozwijać skrzydełka, gdy tak zwane księgarnie *nakładowe* Orgelbranda i Senewalda działalność swoją zwracały przeważnie do popularyzowania wydań poczytnych przekładów z języków obcych, gdy publiczność, mająca dziś, dzięki artystycznym upodobaniom księgarza - estety Mortkowicza, możność rozkoszowania się wspaniałemi okazami wydań illustrowanych, jeszcze w tego rodzaju publikacjach nie odczuwała atrakcyjnej siły.

Wtedy to, młody Henryk Merzbach uczynił pierwszy krok, by księgarnię swoją zorganizować na wzór pierwszorzędnych księgarni brukselskich i paryskich.

Zbiór dzieł nagromadzonych w składzie Merzbacha i Polaka odznaczał się wytwornością opraw, doborem wykwintnych wydań, przedtem niepraktykowanych i w krótkim czasie stał się placówką dla miejscowej inteligencji, która chętnie do nowej księgarni zaglądała.

Zwolna placówka owa przeobraziła się w miejsce schadzek ruchliwych członków organizacji powstańczej, w celu narad nad sprawami bieżącemi i dla wymiany tajnych gazet i proklamacyj.

Spotykano tam redaktora podziemnej *Prawdy*, Wołodego Skibę (Wład. Sabowskiego), redaktora w wydziale prasy Rządu Narodowego, Edwarda Siwińskiego, małego, rudego Wagnera, współpracownika *Gazety Warszawskiej*, naczelnika miasta Przybylskiego i wielu innych dygnitarzy ówczesnej organizacji przedpowstaniowej.

Najruchliwszym w owem gronie był Henryk Merzbach, już znany podówczas jako poeta, autor poematu — *Antoni Malczewski* i zbiorku poezyj pod tyt.: *Lutnia*, wydanego w Poznaniu u Żupańskiego, wreszcie jako autor patrjotycznej piosenki: *„Ach, gdyby ta krew, co płynie z otwartej już blizny“*, i satyrycznego wiersza *„Szlapy doloj“!* wyśmiewającego ówczesnego opiekuna wielkiego księcia Konstantego, nieodstępnego tegoż *„tiełochranitiela“*, późniejszego namiestnika Królestwa, hr. Berga.

Ów to wiersz, którego autorstwo stało się policji rosyjskiej znane, spowodował katastrofę upadku księgarni Merzbacha i Polaka po półtorarocznem zaledwie istnieniu, i zmusił Henryka Merzbacha do opuszczenia kraju, do którego już nie powrócił.

Mniej szczęśliwym był wspólnik jego, Ludwik Polak. Wywieziono go na Syberję, skąd po latach męki, złamany na siłach, powrócił do Warszawy i zmarł wkrótce po powrocie.

Wezwany do Lipska przez J. I. Kraszewskiego, objął tam Henryk Merzbach współredaktorstwo *„Ojczyzny“*, a gdy to czasopismo przeniesiono do Pendlikonu, udał się Merzbach do Brukseli, gdzie utrzymywał bliższe z przyjacielem swym Joachinem Lelewelem stosunki, i wśród emigracji tanecznej, wraz z Włodzimierzem Wolskim zajął stanowisko opiekuna nad biednymi wychodźcami, i gdzie po czynnym udziale w jednej ze znaczniejszych księgarń brukselskich, której stał się współwłaścicielem, znalazł w rodzinie zacnej Hardy de Beaulieu przyszłą swoją małżonkę.

Z czasów pobytu Henryka Merzbacha na wygnaniu powstały dwa zbiorki lirycznych poezyj *„Z wiosny“* i *„Z jesieni“*, mało dotychczas znane, lecz zasługujące na wspomnienie i rozpowszechnienie, jako owoc talentu i szczerego uczucia patrjotycznego. *Al. K.*



AUTEM DO CZECH

2) *(Wystawa Rolnicza w Pradze Czeskiej).*

— A teraz zajrzyjmy do pawilonów naukowych Wystawy z wykresami z dziedziny rolnictwa, doświadczalnictwa, leśnictwa, myślistwa, rybactwa, meljoracji, szkolnictwa itd. itd. i zważmy tę kolosalną pracę, jaką tu włożono, żeby wszelkie zdobycze osiągnięte i zamierzone jasno przedstawić. Zastanówmy się, że te setki maszyn, to w 90% wyrób krajowy czeski i oceńmy, że te maszyny oglądają fachowo i kupują rolnicy—właściciele drobnych hektarów. Wystawa przemówi do nas innym językiem i wzbudzi niejedną myśl zazdrosną.

— W chwilach odpoczynku po męczącem oglądaniu wystawy dobrze jest usiąść gdzieś z boku na ławce i przyjrzeć się strojom ludowym. Jest ich moc wielka, bo wycieczki rolnicze wystąpiły w dzielnicowych kostjumach. — Różnorodność olbrzymia. Spódniczki kobiet króciutkie, przeważnie do kolan (co zresztą i elegantka praska w modnym stroju stosuje), mocno bombiaste, białe z haftami ręcznemi czerwonemi i czarnemi, lub też całe kolorowe, obcisły staniczek, suto haftowany cekinami, bufiaste rękawy i stroik na głowie takwypracowany, żemogłaby go pozazdrościć pierwszorzędna gwiazda z music hall'u. Mężczyźni nie mniej bogato ubrani w spencerki wyszywane, naszywane, haftowane — a co oryginalniejsze, że płeć mocna nosi w niektórych okolicach kraju długie białe spódnice, lub olbrzymie szafirowe fartuchy, co przy długich butach i zawadjackiej minie wygląda dość zabawnie. Zresztą nie sposób opisać tego bogactwa stroju, mieniącego się wszystkiemi barwami, lśniącego złotem tkanych materji, falującego pękami wstążek i kwiatów.

— Wystawa praska ma charakter czysto krajowy i tem imponujący, że nie jest to pokaz techniki rolniczej martwej, która po zamknięciu wystawy leży w składach—przeciwnie, to teren, gdzie najwymyślniejsze maszyny rolnicze znajdują nabywców i praktyczne zastosowanie.

— Po męczących dniach wystawy zostało nam jeszcze trochę czasu na dalsze zwiedzenie Czech. Drogę obraliśmy na Pilzno, Marienbad, Cheb (Eger), Karlsbad. — Jedziemy do Pilzna trzeciorzędną szosą, chcąc poznać kraj schowany od głównego szlaku. O drogę dopytać się łatwo, bo każdy spotkany na szosie Czech zadziwia uprzejmością i precyzją odpowiedzi, w której często słyszymy fachową uwagę o naszem aucie. Wszędzie znajdujemy świetne drogi, ziemię uprawioną jak w ogrodzie — czyste miasteczka i wsie z dominującemi gmachami szkół powszechnych. Próżno jednak szukać po drodze naszych dworów. Niema — został tylko drobny rolnik, a nawet jeśli się gdzieniegdzie ostał zamek z tradycją romańskich murów, jak piękny zabytek w Blatnem, właściciel jego czeka z dnia na dzień na ostatnią parcelację.



Zamek w Blatnem: część murów romańskich

— Począwszy od Karlowych Varów, droga nasza prowadzi przez kraj bogactw mineralnych, więc w ziemi kopalnie węgla brunatnego, nad ziemią bogate źródła Marienbadu, Karlsbadu i Teplitz. Odkrywki węgla brunatnego, kopanego na powierzchni ziemi, a nie w głębi (jak węgiel kamienny), dają obraz piekła Dantejskiego. Dziesiątki kilometrów ciągnie się na kilkaset metrów szeroko, na kilkadziesiąt głęboko rozkopana, rozwarta ziemia. — Zwały popiołu i odpadków węgla, z których unoszą się białe dymy i świecą ognie gazów samozapalnych; niebo nad tem szare, a w dole biegają, kręcą się ludzie, warczą dźwigi i lokomotywy kolejowe. O zmierzchu szarego dnia — widok przejmujący!

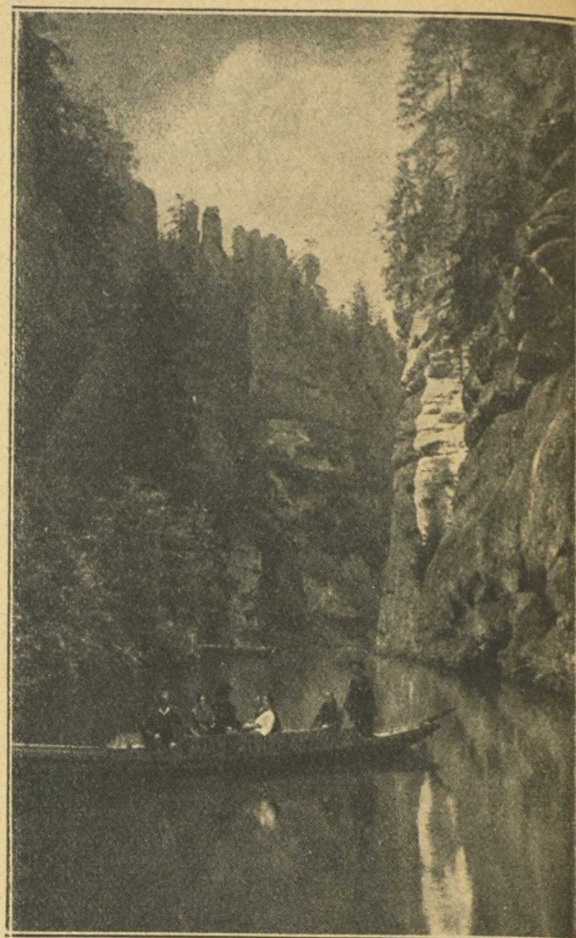
— Marienbad i Karlsbad — ten sam przedwojenny, przeważnie niemiecki i trochę kosmopolityczny, jeszcze więcej zabudowany i jeszcze droższy dla nowobogackich tłuściochów.

— Po okręgu przemysłowym, gdzie piękno Elby tak bardzo szpecą kominy, gęsto usiane wzdłuż ślicznych brzegów, udało nam się trafić na drogę, prowadzącą w góry zdaleka od przemysłu — to droga z Decina na granicę Saskiej Swajcarji do Herrnskretsch'u. Wprawdzie i tutaj nie opuszczały nas słupy podtrzymujące druty oświetleniowych centrali elektrycznych, i tu w górach czytaliśmy w zapadłych osadach rozkład jazdy autobusowej, ale byliśmy pomimo to bliżej przyrody pierwotnej.

Znów świetna szosa doprowadziła nas poprzez góry do Elby, która tu tworzy granicę czesko-niemiecką. Herrnskretsch, to maleńka osada, wtłoczona w skalisty wąwóz, w którym szemrze górski



Zamek w Blatnem: brama wjazdowa z herbem Hildebrandów



Wąwóz w Herrnskreisch

strumień, mało zostawiając miejsca dla ludzi. Rzeka kapryśna i kiedyś wolna — dziwy musiała w tym wąwozie wyprawiać, aby wyrzeźbić twardą skałę w załamy, zwaliska, prostopadłe ściany, okopy groźnie zwisające nad głową. Roślinność tu bujna, jak w cieplarni, bo żadne wiatry w ten wąwóz na stokilkadziesiąt metrów głęboki nie zaglądają, a wylot jedyny na południe otwarty. — Przemyślny człowiek zamknął potok w połowie biegu śluzą — spiętrzył wodę i wozi łódką turystów po wąwozie. Wody potoku szczelnie wypełniły całą wolną przestrzeń, odbijając wąziutki skrawek nieba i prostopadłe ściany skał.

— Nad granicą niemiecką wracamy do Cieszyna i kraju. I znów zdumienie. Jesteśmy przecież w Czechach, a wszystko się zmieniło. Inne budownictwo z kratą pruskich murów, inny język. Nie rozumie nas nikt po czesku, nazwy wszystkie niemieckie. Jesteśmy omal w Niemczech. Przypominamy sobie o 25% mniejszości niemieckiej w Czechach.

— Wracamy do kraju. Każde z nas zbiera skrót wrażeń z drogi. Wynik ten sam. — Kultura materjalna olbrzymia i równa. Pracowitość ludu godna pozazdroszczenia. Dwa współdziałające czynniki: bogactwo ziemi i twarda nieustępliwa praca dały takie rezultaty.

— Przyjeżdżamy do Polski i na zakończenie zwiedzamy cudownie odrestaurowane sale Wawelu. Z tej architektury szlachetnej o wielkim rozmachu idzie wspomnienie setek lat wysiłków duchowych.

— Kultura duchowa — ta jest u nas — a materjalną — da Bóg — dogonimy w wolnym wyścigu narodów.

Janina Janicka

W maju, 1928.

Z literatury czeskiej

WYSTAWA WSPÓŁCZESNEJ KULTURY CZECHOSŁOWACKIEJ

Z okazji jubileuszu dziesięciolecia niepodległości Republiki Czechosłowackiej urządzona będzie w Bernie morawskiem w roku bieżącym wystawa, która ma zadokumentować rozwój kulturalnego życia jej ludów. Praca przygotowawcza jest w pełnym toku. Na wystawie tej jeden dział obejmie również rozwój duchowego życia czechosłowackich kolonji zagranicznych.

CZESKA ENCYKLOPEDJA SŁOWIAŃSKA

Nakładem wydawnictwa praskie „Ver" — zaczęła wychodzić pod redakcją prof. uniwersytetu praskiego M. Weingarta „*Encyklopedja słowiańska*", mająca objąć całokształt teraźniejszego życia Słowiańszczyzny w jej historycznym rozwoju. Współpracownikami są najwybitniejsi slawiści czescy. Pierwszy tom zawiera „Historję Słowiańszczyzny", napisaną przez prof. J. Bidlo. Dalszy tom stanowić będą „Literatury słowiańskie" w opracowaniu prof. T. Wollmana. Dalej znajdziemy w tej Encyklopedji „Geografję, statystykę i ustrój polityczny u Słowian", zbiorową pracę F. Sztuby, A Bohacza i K. Kadka. IV. tom zawierać będzie „Języki słowiańskie" z pod pióra redaktora Encyklopedji, prof. M. Weingarta. Ostatni, V. tom, poświęcony będzie „Filozofji, sztuce i t. d. słowiańskiej" w opracowaniu J. Tvrdego. W ten sposób urzeczywistniono dzieło, o którem już od dłuższego czasu w naukowych sferach czeskich prowadzono ożywioną dyskusję.

Z CZESKIEGO RUCHU TEATRALNEGO

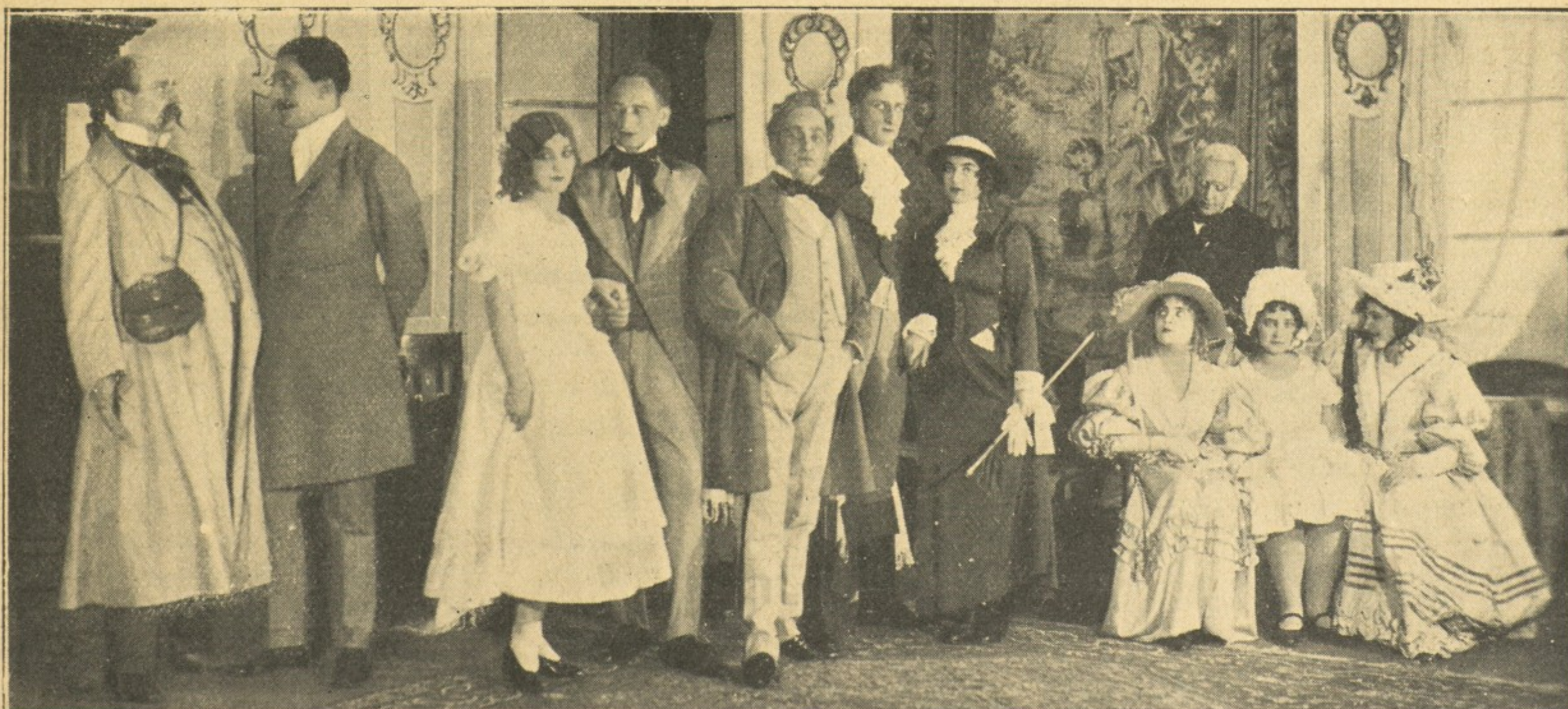
W roku bieżącym obchodził Miejski Teatr w Winogradach w Pradze jubileusz 20-lecia swego istnienia. Obchód ten odbył się wśród czeskich sfer teatralnych uroczyście i Teatr wznowił z okazji tej popularną komedję *J. Vrchlickiego* „Noc na Karlsztejnie", która znowu potrafiła zachwycić krytykę i publiczność. — Jednym z najciekawszych eksperymentów scenicznych tego teatru było wystawienie *Dostojewskiego* „Zbrodni i kary" w układzie scenicznym J. Bora; eksperyment ten wzbudził zaciekawienie krytyki i publiczności. Wystawiono tu również po śmierci powieściopisarza *K. M. Czapka* jego dotąd nie graną sztukę p. t. „Narzeczona poety". — Jedną z najpopularniejszych nowych kreacji czeskich, nagrodzonych w konkursie Teatru Narodowego, jest komedja *D. R. Zoulka* p. t. „Film", grana obecnie w Teatrze Narodowym, która w zabawny sposób opisuje środowisko filmowe. Z innych naszych dramatów czeskich, wystawionych w sezonie obecnym na scenie tego teatru, powodzenie zyskała komedja *P. Kropaczka* p. t. „Stawba" i dramat utalentowanego młodego poety, *F. Kubki*, „Ataman Rinov". — Jubileusz 75 lecia urodzin największego poety czeskiego, *J. Vrchlickiego*, uczcił Teatr Narodowy wystawieniem jego potężnego eposu „Bar Kochba", opisującego walkę żydów przeciwko Rzymowi, w układzie scenicznym prof. M. Weingarta; premjerę poprzedził odczyt prof. M. Weingarta o literackiej twórczości *Vrchlickiego*.—Z pośród artystów Teatru Narodowego zmarła utalentowana młoda autorka, Jarmila Horákowa!



Prymas Polski, Kardynał Hlond, ogląda plac pod świątynię Opatrzności. Od lewej do prawej: ks. Czetwertyński, poseł, Kardynał Hlond, prezydent Warszawy inż. Z. Słomiński, Marszałek Sejmu Ignacy Daszyński *Fot. Światowid*



Przedstawienie amatorskie w Operze na 2-gie Ognisko dla Starców w Sulejówku z kaplicą. Udział wzięli przedstawiciele dyplomacji i sfer towarzyskich stolicy: Rolę tytułową „Szecherezady" odtańczyła córka p. Belitska, posła węgierskiego, „sułtana" W. Borkowski. Inne role odegrali panowie i panie z towarzystwa. Muzykę skomponował p. Wieniawski, a p. Parnell zaaranżował przedstawienie *Fot Malarski*



„Posażna jedynaczka" Fredry, w wykonaniu pań i panów z towarzystwa

Historje zwykłe i niezwykłe...

„Dwoje Ludzi" Wł. Perzyńskiego, „Historje niezwykłe" Józefa Jankowskiego, „Amerykanka" Zyg. Kisielewskiego.

Umiejętność obserwowania ludzi, zjawisk, poruszeń duszy, nie należy do rzeczy łatwych. Trzeba mieć dużą subtelność i wrażliwość, by w powodzi rzeczy zwykłych, opatrzonych, zmechanizowanych odnaleźć rysy charakterystyczne, zajmujące, nowe. Trudność przytem tkwi jeszcze w fakcie, że niekażdy potrafi należycie ocenić tego rodzaju kunszt. Wielu krytyków nie umie się wcale połapać w sztuce obserwacji. Robią wrażenie głuchych, rozprawiających o cudach harmonji. Rzecz prosta, że przy takim ustosunkowaniu się do przedmiotu, nie może być mowy o sprawiedliwej ocenie!

Włodzimierz Perzyński, znakomity komedjopisarz, nowelista, powieściopisarz wydał obecnie nową powieść pt. „Dwoje ludzi". Historja to zwykła. Fabuła nie zawiera nic nadzwyczajnego. Niemal wykrawek z codziennego, naszego żywota. A jednak cóż za bajeczna soczystość, dojrzałość, spokój w ujęciu widzianego świata! Cóż za świetne, subtelne charakterystyki ludzi! Ile scen brawurowych, zabawnych przez delikatne odchylenie w stronę lekkiej szarży. Wystarczy mała zmiana światła, by pokazać tragiczną komedję życia tych naszych dobrych znajomych, niemal przyjaciół, opisanych a podpatrzonych przez Perzyńskiego.

O cóż chodzi? Obywatelska córka, panna Korczewska przez nieporozumienie zrywa ze swoim narzeczonym inż. Dołguckim. Wydawałoby się, iż skoro rzecz się wyjaśni, nic nie będzie stało na przeszkodzie do realizacji małżeństwa. Niestety, w międzyczasie umiera matka, ojciec żeni się powtórnie, panna Korczewska opuszcza dom rodzinny i szuka karjery filmowej. Zbliży się znów do Dołguckiego, lecz przez dziwne pomięszanie pojęć o życiu, miast przyjąć życzliwie wyciągniętą rękę, robi sceny fantastyczne. Dołgucki odejdzie z niczem, jak na lodzie pozostanie i osoba, która przypadkowo spowodowała pierwsze zerwanie. On i pani Wiertkiewiczowa — to „dwoje ludzi". Reszta — prawie szpital z pozorami normalności, codzienności, przeciętności.

Perzyński zebrał ciekawą kolekcję tego rodzaju typów. Oto Miller, człowiek zupełnie dorzeczny, gdy jest na jakiejś posadzie. Bez pracy staje się on łachmanem ludzkim. Gdy znajdzie jakiś ochłap posady, zaraz porywają go ambicje reformatorskie, zdaje się mu, conajmniej, że jest zapoznanym genjuszem. Jest on pseudo - mądry, pseudo - szlachetny i naprawdę nieszczęśliwy. Niezwykle sympatyczną figurą jest Wiertkiewiczowa. Ciche, codzienne jej bohaterstwo musi wzruszyć. Poświęciła się dla rodziny, wychodząc za mąż za pjanego, małego biesa. Ileż przykrości wycierpi z tego powodu!

Perzyński dał w powieści swojej nadzwyczaj trafny konterfekt i tego niesamowitego alkoholika: czy znajdzie się wielu smakoszów powieściowej sztuki, którzy do głębi odczują biesowatość sytuacji i życiową nieporadność Wiertkiewicza, Korczewskiej, Millera?

Z Millera można się jeszcze trochę uśmiać. Będzie to śmiech przez łzy. Durnawy ten mędrzec leczy się z miłości do Wiertkiewiczowej za pomocą... fizyko-chemji. Medycyna pragnie sprowadzić wszystkie zjawiska do reakcji fizyczno - chemicznych. Czemuż by więc nie można było się wyleczyć z miłości przez proste wzięcie na przeczyszczenie?

Pracowite, „naukowe" refleksje Millera obnażają jego psychikę, prawie normalną. Ma ona jednak drobną skazę i to się mści na życiu tego nieszczęśliwego człowieka.

Nowa powieść Włodzimierza Perzyńskiego zwraca też uwagę elegancją formy. Tak prosto pisze tylko artysta dojrzały, świadom swojego panowania nad słowem. „Dwoje Ludzi" są „historją zwykłą" życia naszego, jak „Historje niezwykłe" Józefa Jankowskiego, choć tematy niby są spirytystyczne. Codzienna to rzecz zajmowanie się komunikacją z duchami przy pomocy stolików, spodeczków, medjów. Takich ludzi mamy wielu wśród inteligencji nietylko warszawskiej. Józef Jankowski w formie barwnych opowiadań pokazał wszystkie możliwe zróżnicowania psychicznych manji. Mamy ekstazę wizyjną, halucynację, monoideizm, rzutowanie sobowtóra itd. Zadziwia elastyczność fantazji narracyjnej J. Jankowskiego. Tylko poeta mógł sobie pozwolić na podróż po tak niepewnym gruncie. Moralista zaś odważył się na sąd stanowczy i ujemny o wszystkich tych praktykach dziwacznych. Opowiadanie pt. „Komunikat" daje żartobliwą a dotkliwą nauczkę nietylko zwolennikom panny Stolikiewiczówny. Jest ona znakomitym medjum. Przez nią mówią wszystkie wielkie duchy świata. Jak z puszki Pandory sypią się z niej wszelkiego rodzaju rewelacje. A rezultat?

Panna Stolikiewiczówna pyta: „co odsłoniły wszystkie od wieków otrzymane rewelacje przez podobnych do was sekciarzy? Wartež są one wszystkie jednego twierdzenia Euklidesowego?"

„Historje niezwykłe" Józefa Jankowskiego zasługują, by szeroko były czytane. Łączą one przyjemność z pożytecznością. Miejmy nadzieję, że wpłyną na wytrzeźwienie liczniejszego grona z pośród nałogowców, którzy zaplątali się w błędne koło własnej psychiki. Dużą ekspresją narracji wyróżnia się opowiadanie tytułowe pt. „Zagrób", jest to utwór o rzetelnych walorach artystycznych.

Zygmunt Kisielewski nie szukał tematów niezwykłych do swojej nowej powieści pt. „Amerykanka". Okradanie skarbu nie należy do rzadkości. Mieliśmy nawet specjalną ustawę karzącą śmiercią wojskowych i urzędników państwowych za nadużycia tej kategorji. Przykra to rzecz, gdy dawny bohater, uczestnik walk legionowych, dostarcza podłe, bezwartościowe sukno dla wojska. Nie pociesza nas nawet samosąd. Cóż z tego, że palnął sobie w łeb? Historja jest zwykła, choć niezwykle zakończona. Normalnie bowiem tego rodzaju typy jeżdżą w automobilach. Najsympatyczniejszą postawą jest „amerykanka". Zygmunt Kisielewski suggeruje nam jej idealizm. — Chcemy w to wierzyć, choć to jest „historja niezwykła". Normalnie przecież kobiety z paskarskiego środowiska nie mają skrupułów, ani też uważają za potrzebne odbywać ekspiazje. Wystarcza im, że zastawią sieć na innego łajdaka, byle zamożnego.

Powieść Z. Kisielewskiego przez dydaktykę swoją w szerszych kołach cieszyć się będzie powodzeniem. Warto, żeby ją przeczytali i ex-wojskowi a trudniący się niekiedy wszelkiego rodzaju pośrednictwem. Oni odczują głębię oburzenia Z. Kisielewskiego.

Historje to zwykłe i niezwykłe: są one zwierciadłem naszego obecnego, społecznego życia.

Eustachy Czekalski

WALKA O RZĄD DUSZ

1)

Z prądów ideowych, jakie żłobiły sobie łożysko w umysłowości polskiej ubiegłego wieku, tylko pozytywizm warszawski nie miał dotychczas należytego oświetlenia historycznego. Szereg dorywczych uogólnień w zarysach literatury, kilka artykułów encyklopedycznych, jedna książka anegdotyczna („Stara i młoda prasa"), kilka tendencyjnych porachunków polemicznych Jeske-Choińskiego („Pozytywizm warszawski", „Po latach dwudziestu pięciu", „Typy i ideały pozytywnej beletrystyki polskiej")—oto mniej więcej wszystko, co pisano u nas o trzydziestoletniej działalności pozytywistów. Historykami ruchu byli ci, którzy brali w nim udział bezpośredni już to jako heroldowie „młodych", już to jako ich przeciwnicy.

Upłynęły lata. Wytworzyła się perspektywa historyczna, która pozwala już na dostateczny objektywizm sądu. Biorąc pod uwagę te sprzyjające okoliczności, zabrał się do dziejów pozytywizmu warszawskiego znany historyk literatury, prof. Kazimierz Woycicki, który pracę swą zakreślił na pięć części: 1) Walka z epigonizmem; 2) Walka o programy i hasła w publicystyce; 3) Polemiki pozytywistów; 4) Walka o romantyzm; 5) Najwybitniejsi poeci epoki (Sowiński, Ordon, Faleński, Asnyk, Konopnicka). Podział całości rozległego tematu nie jest dość przejrzysty, ale z pierwszej części, która wyszła z druku*), widzimy, że autorowi chodzi przedewszystkiem o „inwentaryzację dobytku, zebranie materjału, właściwością bowiem czasów pozytywizmu i pracy organicznej było rozpraszanie się, rozproszkowywanie ruchu umysłowego po czasopismach".

Metoda ważnej pracy prof. K. Woycickiego polega głównie na wypisach z artykułów i rozpraw, wypisach bardzo obszernych i szczegółowych. Taka sumienność filologa ma swoje złe strony: uwzględnia nieraz w nadmiernych dawkach bzdurowate gadaniny różnych grafomanów ówczesnych (np. A. Pilecki), nadając pozory historycznego życia temu, co nigdy samoistnego bytu nie miało. Pierwsza część dzieła daje dzieje walki publicystyki warszawskiej z poezją o rząd dusz. Mamy przed sobą obraz osobliwej epoki, która postawiła sobie takie zadanie społeczne: „ujarzmianie uczucia i wyobraźni przez trzeźwy rozsądek, odzieranie natchnienia z nimbu świętości i uroku tajemnicy, jakim otoczyła je epoka miniona, rozprawa na ostre z tłumem epigonów romantycznych, bezpardonowe przerabianie *wieszczów* na pospolitych ludzi, użytecznych w codziennem życiu pracowników". Jeżeli się rozważy istotę tego zadania z oddalenia kilkudziesięciu lat, to nietrudno dojść do wniosku, że powstać ono mogło w atmosferze wyjałowienia po powstaniu 63 r., gdy nie wolno było mówić głośno o najważniejszych sprawach narodu, gdy za klęskę czyniono odpowiedzialnym romantyzm i jego nakazy. Ten sam gatunek reakcji i „trzeźwości", który w Małopolsce zgrupował stańczyków, w Warszawie wyraził się w pierwszych hasłach pozytywizmu. Wszyscy rozumieli dobrze, że atakowanie wielkich poetów emigracyjnych byłoby niedorzeczne, przyczepiono się więc z niewiarogodną pasją do ich epigonów lub do nieszkodliwych grafomanów. Po pismach ówczesnych niemało było, istotnie, mdławych poezyjek, ale rozmiary zalewu nie były tak przerażające, jak... dziś np., gdy po wojnie wystąpiło na widownię z górą trzystu „poetów" mniej lub więcej autentycznych, a przecież nikomu nie przychodzi na myśl rozdzieranie szat z tego powodu...

Inwentarz artykułów i polemik, zebrany przez prof. K. Woycickiego, wywiera wrażenie, jakby przed powstaniem i w dobie popowstaniowej wszyscy, co żyli w Polsce, kleili wiersze, a choroba była ciężka i nagminna. Takie nastawienie się krytyki było, oczywiście, chorobliwe, a w każdym razie nie dowodziło tej trzeźwości i dojrzałości sądu, w imię której rozpoczęto walkę. Już w r. 1852 Szujski narzeka w „Dzienniku Literackim", że „poezja nie ochłonęła jeszcze z szału wieszczbiarstwa" a „uczucie rozuzdało się w zagorzałość". W tem samem piśmie i w tym samym roku Szajnocha biada nad tem, że u nas „nieproporcjonalna liczba zdolności jest bez służby, zwłaszcza publicznej, będąc w tej nieczynności swojej, przeciwnej wszelkiemu wykształceniu rozumu, tembardziej na influencję wierszopisarstwa narażoną". Zapewnia Szajnocha, że „choroba wierszopisarska nietylko pisaniem złych wierszy objawia się i szkodzi" i „w tym właśnie niewierszowym, nierymującym złym wpływie wierszomanji" lęka się Szajnocha „najsroższego z jej strony niebezpieczeństwa". Ostrzega także przed manją rymowania Józef Kremer jeszcze w r. 1855 w swych „Listach z Krakowa": „Jeżeli tedy kogo z młodych opadnie ochota do wierszowania i poezji, niechajże ją uważa za ospę, za odrę lub inną chorobę dziecięcą, którą trzeba odbyć za młodu, jak pierwsze kochanie; ale umrzeć na te słabostki — nie uchodzi". Siemieński zapewnia, że „produkcja utworów z przymiotami względnej doskonałości nadzwyczaj nuży, bo osłabia wiarę w prawdziwą poezję". Kampanję anti-rymopisarską podejmuje na nowo w r. 1860 „Dziennik Literacki". Jan Dobrzański drukuje tam artykuł pod znamiennym tytułem „Precz z rymopisami, weźcie się do prozy!" a Szujski drwi z „Poetycznych młodzieńców", którzy „w słońcu poezji uwijają się, jak muszki maleńkie, roją się i pozują na wielkich ludzi i w niebezpiecznem gorącu palą się znowu, jak komary w świecy"; wierzą oni, że „przez czcze powtarzanie natchnionych słów zbudują natchnioną modlitwę".

Najgwałtowniejszą walkę przeciw „wierszarzom" rozpoczęto dopiero w Warszawie. Pierwszy głos przeciw twórcom „literackiej słomy" zabrał późniejszy teoretyk pozytywizmu, ks. Franciszek Krupiński w r. 1862. Głos to jeszcze pełen umiarkowania, nawołujący młodzież do poważnej lektury. Dopiero po założeniu „Przeglądu Tygodniowego" (w r. 1866) kampania przybrała charakter ostry. Zainaugurował ją poeta Miron, który tak określa współczesną falangę pseudo - poetów: „A wiecie też, kto to fabrykuje te śmieszne sielanki, błazeńskie ody, zakatarzone gawędy, mazgajowate elegje, karykaturalne sonety i wogóle te rymy, po większej części zakończone na *ego, anej, ący* lub *tli się* i *tlisie?* Nie? Zaraz więc powiem. 1. Uczniowie, odsiadujący połowę przynajmniej roku nauki w szkolnych karceresach i czujący niepohamowany wstręt do ortografji. 2. Wyżsi uczniowie, mianowicie współpracownicy niektórych pism, po debiucie w paszkwilu lub kawiarnianym dowcipie, ogłaszający światu wła-

*) „Walka na Parnasie i o Parnas". Materjały i opracowania do dziejów pozytywizmu polskiego. Część I. Walka z epigonizmem. Poglądy, wskazania, nadzieje, wróżby. Warszawa, 1928. Nakład Gebethnera i Wolffa.

snemi i obcemi ustami, że należą już do cechu literatów. 3. Indywidua, cierpiące na nieprawidłowy układ siatki nerwów mózgowych, Filoni bez Doryd, kochankowie sławy na małych, ale dobranych towarzystwach — i 4. Kobiety". Prawdziwą kampanję wywołał sławny artykuł „Przeglądu Tyg." pt. „Groch na ścianę. Parę słów do całej plejady zapoznanych wieszczów naszych" (1867 r.). Tu już mierzy się „poetów" według wskazań pracy organicznej. „A wy, poeci, cóż tej ludzkości dajecie: wiarę, siłę ideału? czyście służkami pańskiemi, co torują nowe drogi? — Nie, na takie rzeczy nie macie czasu — wy cierpicie!!!"

D. N. *Jan Lorentowicz*

Notatki literackie

ZLOT POETÓW

Hr. Ludwik H. Morstin, poeta, dramaturg, ziemianin i dyplomata, urządził u siebie na wsi zlot poetów. W ostatnim tygodniu pałac jego gościł areopag znakomitych wieszczów płci obojga, którzy, jak głosiły zapowiedzi, mieli zasiąść pod rozłożystemi lipami przy dzbanach wonnego miodu, jako we dworze czarnoleskim przed wiekami bywało.

Pomysł piękny, — i odważny! Bo niemasz w Polsce gmachu o takiej pojemności, aby zmieścili się w nim wszyscy rodacy, wierszem piszący. Więc pominięci wieszczowie odczują niechybnie gorycz, a będzie ich nierównie więcej, niż wybranych.

Każdy z zaproszonych miał przywieść z sobą utwory, jeszcze nie drukowane. Nietylko miód zatem, czy małmazja, sączyć się miały z dzbanów. Miały również popłynąć słodkie rymy i azonanse, aby sympozjom był kompletny.

Poeci, słuchający poetów! Idea oryginalna, cokolwiek ryzykowna! Upodobanie w odczytywaniu własnych utworów bywa przeważnie cechą dyletantów i grafomanów. Czynią to wprawdzie niekiedy młodzi wieszczowie, lecz wobec publiczności, która płaci za bilety wstępu. Bezinteresowny, wymienny ekshibicjonizm dojrzałych, ukształtowanych talentów, nawet w cieniu stuletnich drzew i przy pełnych czarach, wydaje się pomysłem poetyckim, mało mającym wspólnego z realizmem nowoczesnego życia, które opiera się na gorączkowem współzawodnictwie i bezwzględnej walce o byt.

Jaki plon literaturze nadobnej przyniesie ów zjazd w rezydencji hr. Morstinów? Gleba w proszowskiem jest bardzo urodzajna. Może ujawni się jakiś natchniony poemat, dotąd przez twórcę zazdrośnie przed okiem wydawców tajony, może w toku koleżeńskich dyskusji zrodziły się jakieś nowe projekty i plany organizacyjne. Przed laty analogiczny zjazd poetów we Francji dokonał wyborów księcia poetów francuskich. Dożywotnią tę godność otrzymał Paweł Fort, potrochu zapewne dlatego, że był jednym z najmniej znanych i uznanych. Zresztą uroczysty tytuł i później nie zwiększył jego autorytetu. Dlaczegóż i w Polsce nie miałaby dojść do skutku podobna elekcja? Tylko skoro u nas ideały demokratyczne tak dalece tryumfują, że nawet ks. Janusz Radziwiłł staje się ich rzecznikiem, — możeby zarządzić raczej wybór prezydenta poetyckiej republiki?

ODSŁONIĘCIE POMNIKA T. KOŚCIUSZKI W MODLINIE Fot. S. Wolski



Przemówienie ks. biskupa Bandurskiego na odsłonięciu pomnika Tadeusza Kościuszki w Modlinie

BRZYDKIE OBYCZAJE

Młodzi ludzie chętnie popisują się opinjami stanowczemi i surowemi. Zwłaszcza nieubłagani są młodzi literaci. Osądzają starszych pisarzy z bezwzględnością, która wydaje im się aktem wielkiej odwagi. W istocie, w okresie dojrzewania jest to mniej więcej to samo, co ostrzenie sobie ząbków na korzeniu fiołkowym w latach niemowlęcych.

Niema w tem nic złego, i nikt nie zwraca na te wyskoki uwagi, prócz paru cioć i kuzynek, podziwiających młodocianego zuchwalca, nawet, gdy ów okres niedojrzałości przeciąga się nazbyt długo .. W Polsce wszyscy wszystkim dokuczają, jeden drugiemu ciągle wymyśla, ktożby się przejmował tego rodzaju psotliwością! Innego nabiera ona znaczenia, gdy swawolny a niedojrzały młodzieniaszek przenosi teren swych ćwiczeń zagranicę. Wówczas może stać się nawet szkodliwym.

Wacław Grubiński w dowcipnym feljetonie („Kurjer Warszawski" Nr. 160) zajął się jednym z takich młodych pięknoduchów, który dostał się przedwcześnie na szpalty popularnego we Francji czasopisma „Les Nouvelles Littéraires" i tam hula na łące literatury polskiej z niepohamowanym ferworem. Kopie współczesnych pisarzy, ciska się na nich, potrąca, podrzuca. — Patrzcie, jaki jestem wielki! Tym nieopanowanym młodzieniaszkiem jest p. Otto Forst Battaglia. Miast zaznajamiać czytelników francuskich z tem, co jest w piśmiennictwie polskiem godnego i wartościowego, chełpi się przed obcymi zarozumialstwem i złośliwością. Nikogo nic nie nauczy,—do współczesnej twórczości polskiej nierozważnie cudzoziemców zraża. I po co to? Czy niedość jest w Polsce czasopism, które tak chętnie wszelkie tego rodzaju elukubracje drukują?

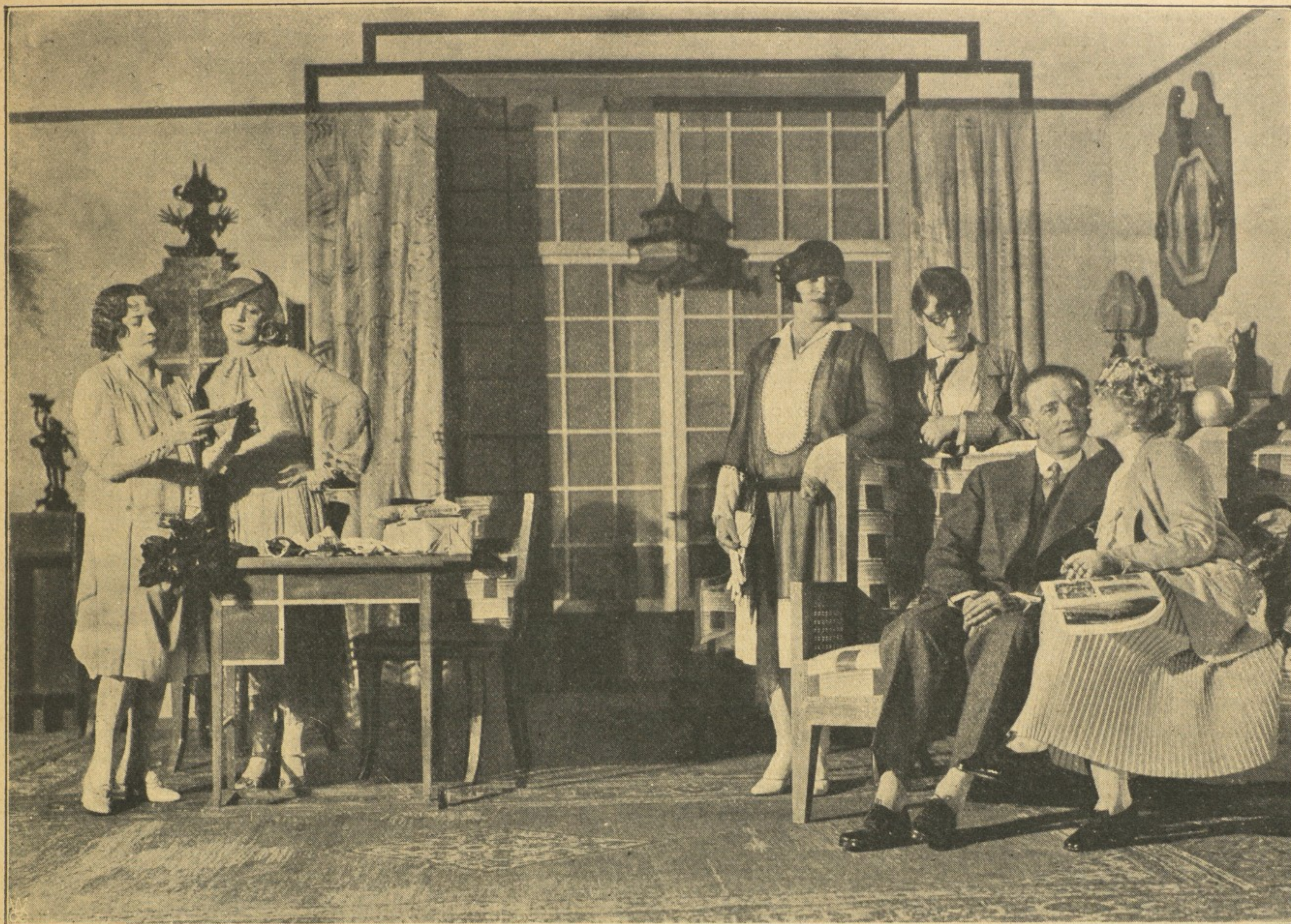
Słusznie pisze Grubiński:

„W Polsce, jeżeli się sygnalizuje pisarza obcego, to tylko dlatego, że jest utalentowany. U nas niktby nie wpadł na przedziwny pomysł pisania o nieznanym pisarzu np. portugalskim z tego jedynie powodu, że jest nudny, że wydaje (po portugalsku) coraz gorsze książki lub że przypomina drugiego nieznanego w Polsce portugalskiego pisarza. P. Otto Forst Battaglia taki właśnie artykuł zamieścił o nas w bardzo rozpowszechnionem czasopiśmie paryskiem".

WRĘCZENIE NAGRODY m. WARSZAWY, ZA WYBITNĄ DZIAŁALNOŚĆ NA POLU SZTUKI



Jacek Malczewski, znakomity art. malarz, w otoczeniu najbliższej rodziny oraz delegatów z Warszawy, któremu wręczono nagrodę m st. Warszawy — dyplom honorowy oraz 15 000 złotych Fot. Jan Malarski



Wykonawcy ról głównych z panią Przybyłko-Potocką na czele. Fot. St. Brzozowski

Dwa sukcesy

Tę lekką komedję pani Marja Przybyłko-Potocka czyni lżejszą, niż pióro, grając rolę Konstancji z nieporównanym wdziękiem i po mistrzowsku. A może nie wszyscy wiedzą, że lekka komedja to potężny ciężar i tylko bardzo mocni artyści umieją go dźwigać bez wysiłku? I napisanie lekkiej komedji jest podjęciem przez autora wielkiego ciężaru. Pewien krytyk francuski, odwiedziwszy p. W. Somerset Maugham'a w jego willi na Rivierze, zdziwił się, ujrzawszy półki jego gabinetu przepełnione dziełami filozoficznemi.

— Co to znaczy? — zapytał.

Angielski komedjopisarz, autor ostatniej nowości repertuarowej teatru Małego, odparł:

— Początkowo zamierzałem się poświęcić filozofji.

Krytyk jakgdyby się zdziwił, że rozdawca uśmiechów, komedjopisarz, tyle miejsca w swojej prywatnej bibliotece oddaje dziełom starożytnych i nowożytnych filozofów. Francuski krytyk zapomniał, że Molier był uczniem Gassendiego, a wielki Descartes pisywał dla szwedzkiej Krystyny i jej dworu krótkie, dziś zaginione, komedje. Zapomniał również, że Arystofanes lubił spędzać czas w towarzystwie myślicieli. Dobra komedja tai w sobie filozofa, który uciekł na scenę z atmosfery pedanterji. „Oto kobieta!" W. Somerset Maugham'a jest filozofją, wyłożoną w uśmiechach.

Sam J. W. Somerset Maugham, anglik, urodzony w Paryżu, studjujący filozofję w Niemczech, medycynę w Londynie, oświadcza, że największy wpływ miała na niego twórczość Maupassanta. Rozpoczął karjerę literacką od napisania powieści, będąc lekarzem w jednym ze szpitalów londyńskich. Porzucił medycynę, ale literatura przynosiła mu niewiele. Doszło do tego, że stanął oko w oko z koniecznością zawrócenia do rzemiosła Eskulapa. W r. 1907 londyński Court Theater wystawił pierwszą sztukę p. Somerset Maugham'a pt. *„Lady Frederick"* jako „zapchajdziurę" repertuarową wobec niespodziewanej „klapy" innej sztuki, uważanej przez dyrektora za „pewniak" i wobec smutnego faktu, iż narazie brakowało odpowiednich wykonawców innego „pewniaka". Manager Court Theater powiedział sobie: *„Lady Frederick* utrzyma się na afiszu ze sześć tygodni, a ja tymczasem poszukam aktorów potrzebnych mi do tamtej niezawodnej komedji..." Manager Court Theater srodze się zawiódł: *Lady Frederick* trzymała się na afiszu piętnaście miesięcy. P. Somerset Maugham mógł nie wracać do medycyny. Gdyby Warszawa była większa, to „Oto kobieta" z arcyznakomitą panią Przybyłko - Potocką w roli głównej i z wybornymi pp. Grabowskim i Belke w rolach głównych jej partnerów, również nie schodziłaby z repertuaru kameralnego teatru Szyfmanowskiego piętnaście miesięcy. Jest to komedja o czarującej młodej kobiecie, która po piętnastu latach małżeństwa, postępowaniem mądrem, subtelną polityką, bez wybuchów, bez patetycznych wyrazów, umie odbić męża jego kochance i umie nanowo wzbudzić w nim płomienną miłość. Konstancja jest filozofem i dyplomatą. Powinny się z nią poznać wszystkie kobiety: będą w

dobrem towarzystwie i wiele się od niej nauczą. P. Przybyłko - Potocka, inkarnująca postać Konstancji, to koncertmistrz gry scenicznej. Występy takiej artystki dla kulturalnej publiczności są taką samą szczytową atrakcją, jak występy Paderewskiego, Kubelika, czy Caruza.

Jednocześnie z komedją Somerset Maugham'a w teatrze Małym na afisz Teatru Polskiego weszła rozgłośna sztuka Ph. Dunninga i G. Abbota pt. *„Broadway"*, interesujące widowisko z literackiego rodzaju Conan Doylowskich sensacji, teatralny popis od początku do końca wyśmienity, przedewszystkiem p. L. S. Schillera, a następnie p. Samborskiego, Modzelewskiej, Kuncewiczówny, Wesołowskiego, Małkowskiego, Maliszewskiego, Staszewskiego i Czaplińskiej. Jesteśmy śród mętów społecznych — współczesnej Ameryki Północnej. Szmuglerzy alkoholu bawią się za kulisami podrzędnego kabaretu. Bawią się panowie bandyci, trzeciorzędne *girls*, podtatusiałe *divy*, a krąży między nimi agent policji kryminalnej, przypominający swoim widokiem szanownemu gronu istnienie fotela elektrycznego. Swoistą atmosferę tego drapieżnego świata, żyjącego z bezprawia a ściganego przez prawo, umiał na scenie wywołać p. Schiller, a ucieleśnił w jednej figurze, jak w nowoczesnej syntezie łotrostwa i zuchwalstwa, p. Samborski. Steff Crandal to jedna z najlepszych ról tego pierwszorzędnie wybitnego artysty. Steff Crandal p. Samborskiego przy całej swej ludzkiej prostocie dyszy tak straszliwą siłą bezskrupułowości, że ścina krew w żyłach i może się przyśnić. P. Fritsche, grający łapacza Maccorna, zapewne umyślnie przeciwstawił Steffowi ton dobroduszności. Dobroduszność, mająca na swoje usługi fotel elektryczny! Jest w tem pewna pikanterja.

Lilję kabaretu Nicka Verdisa, greka i ciemnej figury, prześlicznie interpretowała p. Modzelewska, którą zasypaliśmy oklaskami, za piosenkę i taniec. P. Wesołowski w roli młodego aktora kabaretowego wniósł nutę uczciwości i miłej naiwności w to ludzkie bajoro, tak malowniczo oprawione przez pp. Śliwińskiego i Norblina. *Broadway* nie jest literaturą, ale jest niezwykle zajmującem widowiskiem teatralnem. Są ludzie, którzy od czasu do czasu lubią przeczytać dobrą powieść kryminalistyczną. *Broadway* ich zadowoli.

W. Gr.

Z MUZYKI

Doskonały muzyk i krytyk p. F. Szopski, omawiając premjerę ostatniego divertissement'u w operze naszej, napisał, iż nadawało się ono raczej do music-hall'u. Określenie zupełnie trafne: Dyrekcja opery, po pierwszych tryumfach p. Parnella, nadużywa jego sił i talentu, tak dalece, iż w produkcji tanecznej gubi niejako, czy też chowa premjerę operową p. Wieniawskiego, p. t. „Wyzwolony".

Wieniawski jest muzykiem utalentowanym i dystyngowanym. Pod słowem dystynkcja rozumielibyśmy tu miarę, właściwą miarę, z jaką muzyk ten umie się posługiwać swą wytworną paletą orkiestrową. Wieniawski ma wszystkie zalety dobrego pisarza operowego, pisarza, którego kompozycje powinny krzepko trzymać się przez niejeden a kilka czy nawet



Adam Wieniawski, znany kompozytor, autor nowej opery pt. „Wyzwolony". Opera ta doznała gorącego przyjęcia ze strony publiczności.

wiele sezonów. Do zalet tych doczepiła się jednak wada niezależna może nawet od kompozytora, a jednak bardzo szkodliwa: Wieniawski nie ma szczęścia, czy też nie ma poczucia istotnego libretta operowego.

Dlaczego muzycy nasi, którzy tyle pracy i talentu poświęcają na rzecz zdobycia sceny operowej, nie szukają inicjatywy, o ile chodzi o libretta, u naszych pisarzy dramatycznych, czy poetów, pozostanie dla mnie tajemnicą. Nie ulega chyba najmniejszej wątpliwości, że libretta „krajowe", tak pod względem tematu muzycznego, jak też i zespolenia z tłem narodowem byłyby o wiele bliższe i dostępniejsze dla naszej publiczności, dla zagranicznej zaś o wiele ciekawsze od anonimowych elaboratów, czy przeróbek, jakie widzimy ciągle na deskach Teatru Wielkiego.

Jkb.

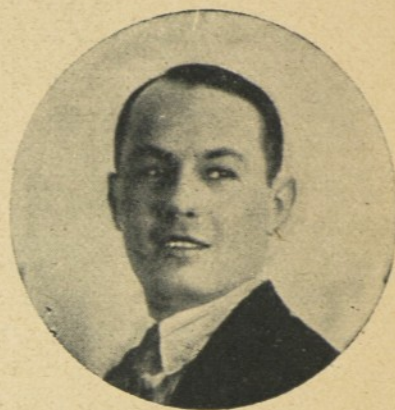
DROBIAZGI TEATRALNE

WCZORAJ I DZIŚ

Parę lat temu zjawił się w redakcji naszej młody, nieśmiały i nadzwyczaj ugrzeczniony młodzieniec. Pragnął zobaczyć się koniecznie z naczelnym redaktorem.

— Czego pan sobie życzy?

— Panie redaktorze, jestem Kiepura, za parę dni będę debiutował w Operze. Od tego debiutu zależy moja przyszłość. Czy pan redaktor nie zechciałby w „Świecie" umieścić mojej fotografji i paru słów? Całe życie będę w d z i ę c z n y! Wszystko, co pan zechce...



Jan Kiepura

Redaktor przerwał potok gorących zapewnień, wziął fotografję.

— Dobrze. Życzę panu powodzenia. By pan się stał drugim Mierzwińskim!

. . . .

Po paroletniej nieobecności, p. Kiepura zjechał do Warszawy, już opromieniony zaczątkami europejskiej sławy. Teraz fotograf redakcyjny z własnej inicjatywy zjawia się u głośnego śpiewaka. Przyjmuje go sekretarz.

— Pan Kiepura nie ma czasu fotografować się. Zresztą nie zależy mu na tem, aby jego podobizna była w pismach.

Jakże cieszymy się, iż życzenia naszego redaktora ziściły się tak szybko i w takiej pełni.

Z TEATRÓW PARYSKICH



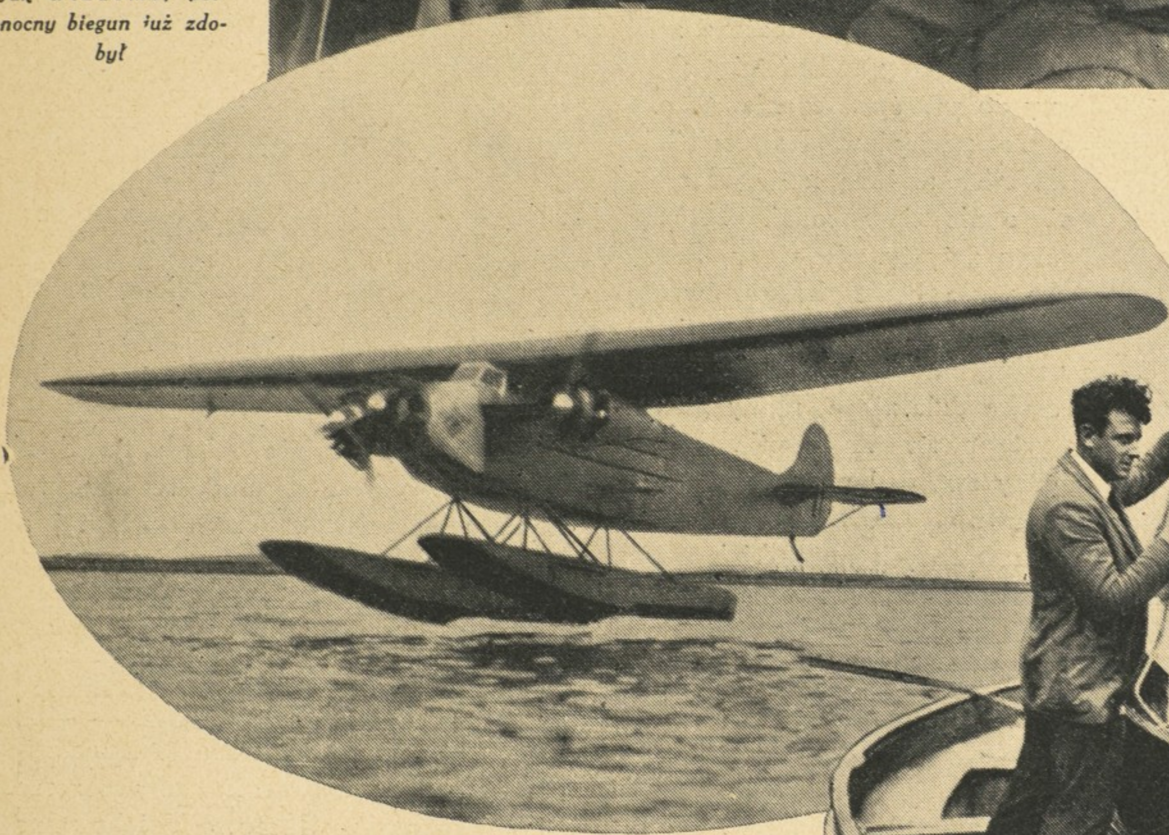
P. Halka Ducraine, córka b. wiceprezesa Teatrów Rządowych Warsz., p. Kazimierza Hulewicza, utworzyła w Paryżu trupę młodych artystów dramatycznych. Przedstawienie, jakie zespół ten dał w teatrze Femina, doznało nader życzliwego przyjęcia. P. Ducraine jest uczennicą Sary Bernhardt; od jesieni ma ona występować w Odeonie. Za książkę „La femme Polonaise" odznaczoną została krzyżem zasługi

ZE ŚWIATA

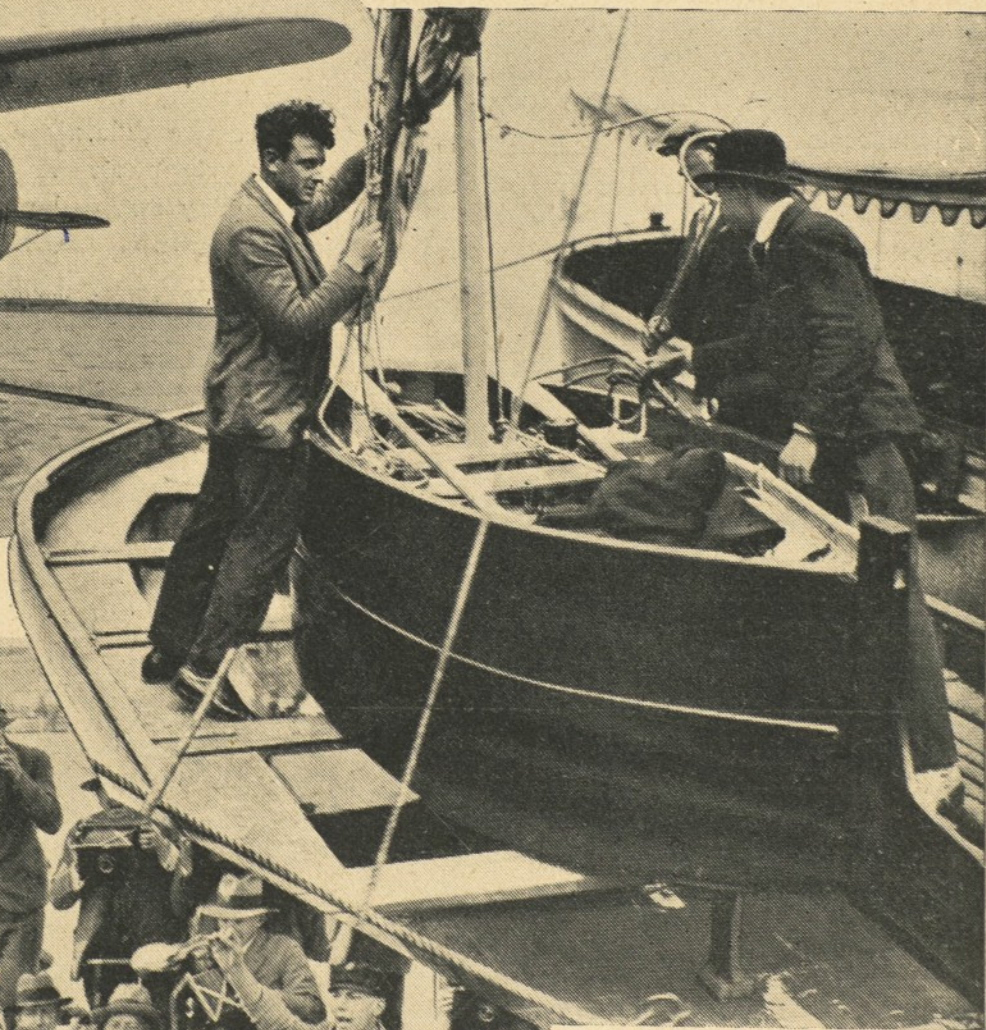


Fot. „Wide Word"

Znany lotnik Byrd na tym aparacie wybiera się na podbój południowego bieguna. Jak wiadomo, północny biegun już zdobył



Panny w New-Yorku zaczęły nosić monokle. Jest w tem amerykański szyk



Nietonąca łódź. Wypróbował jej właściwość na kanale La-anche znany pływak N. Derkom



Reporterzy-fotografowie przy pracy podczas otwarcia wystawy „Prasy" w Kolonji. Ambicja zawodowa gra by uchwycić komplet reprezentacji zagranicznych

A propos budowniczego, który spadł z własnego rusztowania

Co przed trzydziestu laty było nowością i oryginalnością Ibsena i zdawało się być jego siłą, mianowicie filozoficzna symbolika jako dominujący składnik jego niepokojących dramatów, dzisiaj wyraźnie stanowi właśnie słabą ich stronę. Jeżeli „Budowniczy Solness" i dziś jeszcze przykuwa uwagę widza i czytelnika, to dzieje się tak nie dlatego, że jest utworem filozofa, człowieka niewątpliwie rozumnego, nawet głębokiego i nie dlatego, że fastryga symbolicznych dwuznaczników biegnie konsekwentnie poprzez jego kunsztowny, treścią przesycony, djalog, ale wręcz przeciwnie, wbrew tej sztucznej symbolice i pomimo narzucającego się nam rebusowego filozofowania, a jedynie dzięki temu, że Ibsen umie tworzyć dla sceny ludzi arcyżywych i wtrąca ich po mistrzowsku w tak zwaną akcję. Na przedstawieniu „Budowniczego Solnessa" z przedziwną jasnością wyłoniła się z za rampy ta niezbita, acz cokolwiek kłopotliwa prawda (kłopotliwa ze względu na sławę Ibsena), że intelekt i artyzm są to dwa najzupełniej różne elementy, z których pierwszy, aby w dziele sztuki mógł zachować swoją niezaprzeczoną wartość, musi być przez drugi absolutnie pochłonięty. Sztuka nie służy intelektowi, drwi z inteligencji, sama sobie jest pani. Jeżeli ideja w dramacie, czy poemacie usiłuje podporządkować sobie element sztuki, nie zaś roztopić się w tym elemencie, to w takiej walce zawsze przegrywa. Obnaża bowiem całkowicie swoje ubóstwo, swoją ograniczoność, swoją ciasnotę, w obliczu nieograniczonej pojemności sztuki. Sztuka, jak życie, mieści i godzi w sobie wszystkie sprzeczności, gdy ideja kończy się przy spotkaniu z ideją przeciwną. Dlatego systemy filozoficzne są śmiertelne, a dzieła sztuki żyją wiecznie. Nowa ideja zabija starą ideję, ale nowe dzieło sztuki nie zabija dawnego dzieła sztuki, bo sztuka nie polega na nowości. Istotą sztuki jest cudowna umiejętność artystycznego uwieczniania pulsu życia w twardym marmurze, czy w ulotnem słowie. Sztuka sprawia, że ideja żyje, wibruje życiem, ale nie odwrotnie, nie ideja jest istotą sztuki, lecz życie zaklęte w kategorjach piękna, to życie, które sprawia, że stara ideja rodzi się nanowo, wydaje nam się odkryciem i porywa nas i rozpłomienia. Każdy chrześcijanin umie na pamięć ideję miłości bliźniego, ale ta ideja leży w nim obojętna, martwa, jak skamieniały w wodzie karlsbadzkiej owoc. Przeczytajmy jednak „De profundis" Oscara Wilde'a, a przekonamy się, jak z kamienia tej idei znów się tworzy soczysty, smaczny, pożywny owoc. Zresztą, nowych idei niema. Nowa ideja, jak słusznie mówi Hebbel, jest nową ideją półtorej godziny. Do jakiego stopnia nowość zbyteczna jest artyście do stworzenia nieśmiertelnego arcydzieła, najlepiej świadczy Sofokles, który tematy do swoich wiecznie młodych tragedji czerpał z Homera i z mitologji, a Szekspir z nowel włoskich. Ani nowa ideja, ani wogóle ideja, choćby najwznioślejsza, nie stanowi o wartości dzieła sztuki. Ideje, które sieciami najrozmaitszej konstrukcji myślowej wyłowili krytycy z dzieł szekspirowskich, są tak sprzeczne, że aż zgroza bierze; w każdym dramacie Szekspira każdy krytyk widzi inną ideję, a jednak mimo tę pozaidejowość szekspirowskich dramatów, dramaty te od trzystu lat żyją, budzą w nas uczucia, oświetlają głębię duszy ludzkiej, czytamy je z wypiekami na twarzy, słuchamy ich w teatrze z biciem serca, rozmyślamy nad niemi głęboko i dochodzimy do przeświadczenia, że chociaż każdy z nas widzi w „Hamlecie" inną treść filozoficzną, inną ideję, „Hamletowi" to nic a nic nie szkodzi. Instynktem genialnego artysty wiedziony, Szekspir wkładał w usta swoich bohaterów najsłuszniejsze słowa, najzgodniejsze z indywidualną naturą każdego mówiącego, ale sam jako osoba działająca nigdy między nimi nie występował. A Ibsen wciąż się szwęda między swojemi postaciami i ciągle im coś sufluje, zmusza je do powtarzania swoich własnych autorskich myśli, słowem, nietaktownie się wtrąca do dramatu, który przedstawia. Tkwi w nim namiętny moralista, który przeszkadza artyście. Tkwi w nim moralista cierpki, szorstki, nieustępliwy, przekorny, mruk, który przemawia zwięźle a dokuczliwie, wątrobiarz, który potrafi długo się nie odzywać, patrząc naokoło przenikliwie swojemi złemi zuchwałemi oczami.

Życie go nie pieściło. Upartą twardą pracą torował drogę sobie i swoim wielkim ambicjom. W domu Ibsenowskim nie było wesoło. Wszystko tu było podporządkowane rozwojowi jego filozoficzno-dramatycznego dzieła. Ożenił się w tym celu z kobietą nieładną, nieozdobioną wdziękiem, z kobietą posiadającą zalety sumiennego urzędnika, z kobietą obowiązkową, surową, słowem, ożenił się z poważnym mężczyzną płci niewieściej, czyli, zamiast założyć ognisko rodzinne, założył prywatne biuro swojej wysokiej karjery, biuro, w którem kapitał zakładowy zastąpiono przez solidność i wołową pracowitość wspólnika. Aby być poetą dramatycznym, ubogi Ibsen wyrzekł się osobistego życia. Brzmi to paradoksalnie, ale jest prawdą. Położył się na marginesie życia zły, jak każdy proletarjusz, i tylko wyciągniętemi mackami swej poetyckiej wrażliwości chłonął w milczeniu otaczający go świat pełen gwaru, krzyku, szeptanej tajemnie prawdy apetytów i na całe gardło wołanej hipokryzyjnie świętości ideałów. Zbuntowany Ibsen zaczął obrażać ideały, stanął w obronie kłamstwa. Czynił to bez gracji, ale z zaciętością, dokładnie, tak dokładnie, że aż wymyślnie. Na tych bojach przeszło mu lat kilkadziesiąt, zanim spostrzegł, że największą mądrością jest młodość i miłość. Zapragnął zażyć swej młodości, serce uniosło się w jego piersiach oszałamiającem uczuciem. Zapóźno. Młodość nie wraca. W obliczu miłości, którą zapłonął jako starzec do młodej dziewczyny, może przypomniał sobie miłość, której się niegdyś wyrzekł heroicznie i głupio. Kochał uroczą Marję Daae, lecz poślubił Zuzannę Daae, jej gospodarną siostrę. Wyrzekł się szczęścia dla napisania tylu dramatów, którym dziś pragnie zadać kłam! Niech żyje życie!

Gdyby to w jego czasach było możliwe, uczyniłby jak doktór Faust: sprzedałby duszę djabłu za odzyskanie młodości dla pozyskania Małgorzaty. Ale piekło od bardzo już dawna przestało robić interesy tak problematyczne. Zwłaszcza że w międzyczasie ujawniło się tajone dotąd prawo wszechstworzenia o potępieniu wiecznem tych, co własnowolnie zmarnowali młodość.

Wacław Grubiński

Akademja smakoszów

W Paryżu istnieje Akademja Smakoszów, złożona w dwudziestu osób towarzystwa paryskiego. Członkowie tej akademji zbierają się raz na miesiąc, zawsze w innej wielkiej restauracji. Nowych członków balotuje się podczas obiadu. Na jednym z ostatnich posiedzeń wybrano pana Pierre'a Bellanger na miejsce księcia Leona Radziwiłła. Na ostatniem obiadowem posiedzeniu przy deserze p. Bellanger wygłosił mowę dziękczynną, a p. Etienne Grosclaude odpowiedział mu w imieniu Akademji mową wprost szampańską. Następnie kandydatura wicehrabiego de la Rochefoucauld otrzymała wszystkie głosy.

Zanim nasz rząd zdecyduje się powołać do istnienia Polską Akademję Literatury, czyżby nie było dobrze siłami prywatnemi ufundować Polską Akademję Smakoszów? Projekt niniejszy z pewnością nie wywoła tak gwałtownej polemiki, jak projekt stworzenia Akademji Literackiej, mimo że sprawa jedzenia jest zagadnieniem życia i śmierci. Zresztą, obok Akademji Smakoszów doskonale może prosperować Izba Nienasyconych, jak obok Akademji Francuskiej świetnie się miewa Akademja Goncourt'ów. W jednej zasiądzie polski Anatol France języka, w drugiej polski Courteline podniebienia, dwaj szczerzy przyjaciele, którzy w ciągu długiego życia mieli dla siebie nawzajem entuzjastyczny podziw. Dwa dobrze zastawione stoły nietylko nie dzielą ludzi, ale, przeciwnie, dążą do połączenia się ku wspólnej radości biesiadników.

x. x. x.



Wojska japońskie, popierające ultimatum Tokia

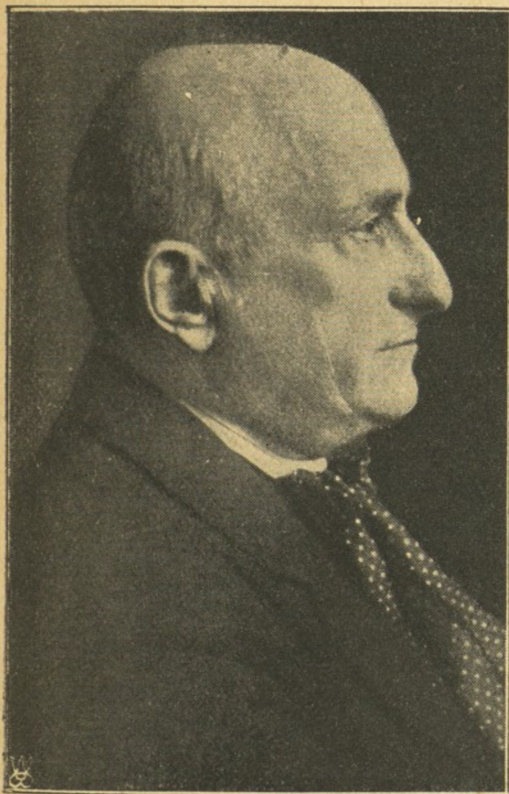


Karabiny maszynowe japończyków w Tien-sinie zaprowadzają porządek

Fot. „Wide World Photos".

Pacyfista francuski w Berlinie.

Profesor na wydziale literackim w Paryżu, p. Wiktor Bash, jest jednocześnie prezesem francuskiej Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela, organizacji, liczącej około *stu pięćdziesięciu tysięcy* członków, rozrzuconych po całej Francji. Do zarządu Ligi należą od lat kilkudziesięciu największe nazwiska republikańskiej i demokratycznej Francji (Trarieux, Séailles, de Pressensé, Ferdynand Buisson, Painlevé, profesor Aulard, Herriot i inni). — Obecnie prezesem Zarządu jest profesor estetyki w Sorbonie paryskiej, Wiktor Bash, człowiek energiczny, utalentowany pisarz, mówca namiętny, całem sercem oddany sprawie, której broni.



Wictor Bash.

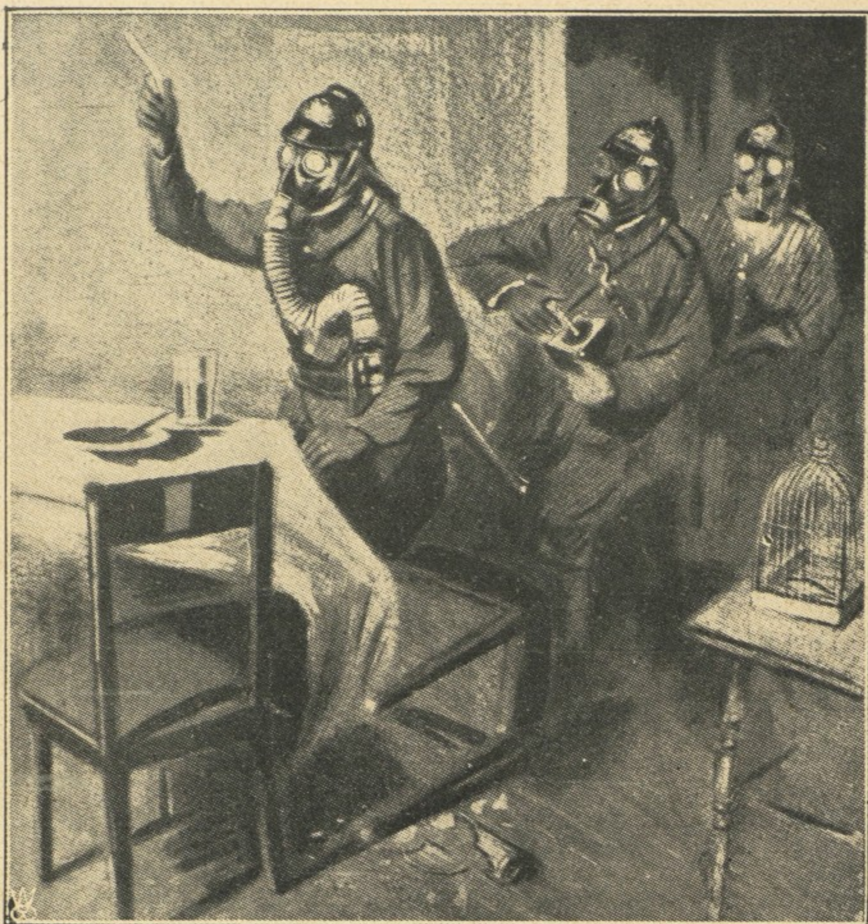
Znalazł on się niedawno w Berlinie, w okresie walki wyborczej i zabrał głos na zebraniach (bardzo licznych) w Berlinie i Hamburgu. Powiedział Niemcom *całą prawdę*, dowodząc, że nie wykonali zobowiązań, wynikających z Traktatu Wersalskiego i z późniejszych, że ich pretensje do tak zwanego „Korytarza" są zgoła bezpodstawne, albowiem ludność „Korytarza" jest statystycznie polską i sama o losie swoim i o przynależności swojej decydować może, że nie wywiązując się z zobowiązań, nie mogą żądać ewakuacji porzecza Renu... Mowy te wywołały nieopisane rozgoryczenie i oburzenie u nacjonalistów pruskich i niemieckich. Ci ostatni nie czynili z oburzenia swego żadnej tajemnicy. Na wiecach wyborczych, w dziennikach — wyklinano profesora Basha, o którym myślano, że jako radykał francuski i jako pacyfista bez zastrzeżeń zgodzi się na wszystkie żądania niemieckie. Propaganda niemiecka nazwała pana Basha politykiem niezręcznym. Jestto człowiek szczery i wielkiej odwagi cywilnej. Pacyfiści niemieccy, niemiecka Liga Obrony Praw Człowieka (von Gerlach, Lehmann - Russbüldt, Kuczyński, Grossmann, Förster, Schwann) stanęli koło profesora Basha.

Stanisław Posner

POWITANIE M. GORKIEGO W MOSKWIE



M Gorki, znany pisarz rosyjski, autor „Na dnie" po wieloletniej nieobecności w ojczyźnie wrócił do Moskwy, owacyjnie witany przez ludność i delegacje związków i stowarzyszeń



Straż ratownicza w maskach robi przegląd domów położonych niedaleko katastrofy. Wybuch fosgenu zatruł licznych mieszkańców



Liliana i Dorota Gish, dwie słynne gwiazdy kinowe, są dobremi córkami. Przed wyjazdem do Europy odwiedziły matkę, mieszkającą w New-Yorku. Zdjęcia dokonano na dachu drapacza nieba

Echa ze świata

PODRÓŻE NA KSIĘŻYC

We Francji ustanowiona została doroczna nagroda w kwocie 5000 franków za prace, które posuwać będą w kierunku stworzenia komunikacji międzyplanetarnej. Ofiarodawcami są pp. Hirsch i Esnault Pelterie. Przy tej sposobności przypomniano sobie, że już dawniej ufundowana została analogiczna nagroda przez panią Guzman, z tem tylko zastrzeżeniem, że planeta Mars ma być wyłączoną. Było to w okresie, gdy pewni astronomowie odkryli „kanały" na Marsie i zacnej pani Guzmanowej wydało się, iż komunikacja z tą planetą jest sprawą tak łatwą i rychłą, że nie warto wspierać jej nagrodą. Później dopiero okazało się, że owe „kanały" były po części fantazją, po części skutkiem złych szkieł w lunetach, — krótko mówiąc, że były taką samą legendą, jak słynna klacz Rolanda, która nigdy nie istniała...

Czy nagroda pp. Hirscha i Esnault-Pelterie popchnie sprawę komunikacji choćby z księżycem naprzód? Cuda ostatnich odkryć (radio) przekonały ludzkość, iż przyroda kryje w sobie tajemnice, wobec których najbujniejsza fantazja poetów jest niczem. Wszystko jest możliwem, nic nie jest już w stanie nas zadziwić. Jak dotąd, najbliższym realnego rozwiązania sprawy był mózg literata: pomysł Juljusza Verne'a zbudowania olbrzymiej armaty, której pocisk dotarłby do księżyca. Verne pomylił się zasadniczo w jednem: zdawało mu się, że pasażerowie „Columbji" w chwili wystrzału będą rzuceni naprzód i dlatego przednią część kajuty wysłał materacami i poduszkami. Późniejsze badania udowodniły, że pasażerowie, zamknięci w takim pocisku, odrzuceni byliby w tył i zmiażdżeni w warstwę, cieńszą od papieru.

Inny literat, Wells, proponował, by ściany pocisku były zbudowane z materji, pozbawionej ciężkości. Niestety, jak dotąd, stworzenie takiej materji jest nieodgadnioną zagadką, a odkrycia Einsteina wskazują, że samo założenie jest nierealne. Więc usiłowania upartych fantastów krążą wciąż koło zasadniczego pomysłu Verne'a... Chodzi o stworzenie jakiejś cudownej rakiety, która posiadałaby własny motor wewnętrzny olbrzymiej siły, którą wystrzeliłaby siła wybuchowa niebywałej dotychczas potęgi.. Majaczenia niepoprawnych marzycieli? Tyle cudów już doczekało się ziszczenia!..

G.

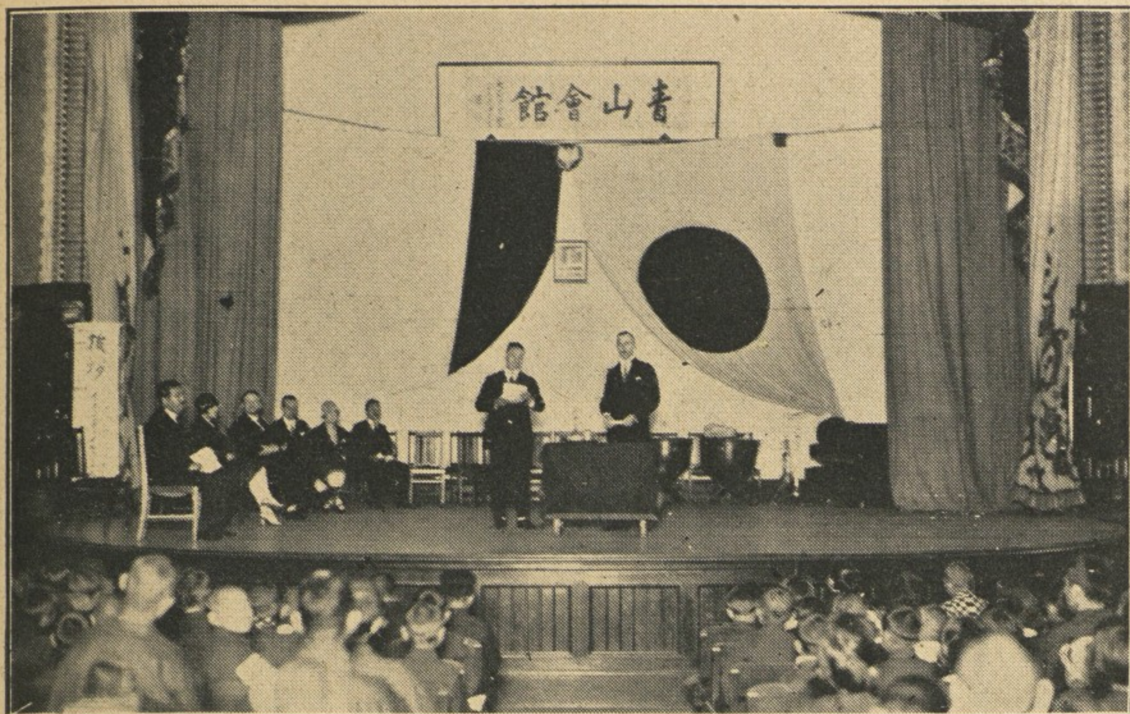
DROGOCENNE PRZYBRANIE SUKNI



Suknia amerykańskiej artystki Peggy Joyce, przybrana perłami o wartości 300 tysięcy dolarów. Napewno żadna z artystek europejskich nie posiada tego rodzaju upiększeń. I pod tym względem Ameryka osiągnęła rekord

Fot. „Kazia"

TOKJO W DNIU 3 MAJA R. B. URZĄDZIŁO OBCHÓD DLA DZIECI JAPOŃSKICH, POŚWIĘCONY POLSCE



Przemówienie chargé d'affaires ppł. Wacława Jędrzejewicza, tłumaczone na język japoński przez p. Shimę, tłumacza poselstwa.

NOWY REKTOR UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO



Prof. dr. Gustaw Przychocki, nowowybrany przez ogólne zebranie profesorów rektor Uniwersytetu Warszawskiego na rok 1928/29.
Fot. Światowid.

DZIEWCZĘTA Z GIMNAZJUM P. ZABOROWSKIEJ - MICHALSKIEJ NA KOLONJI LETNIEJ

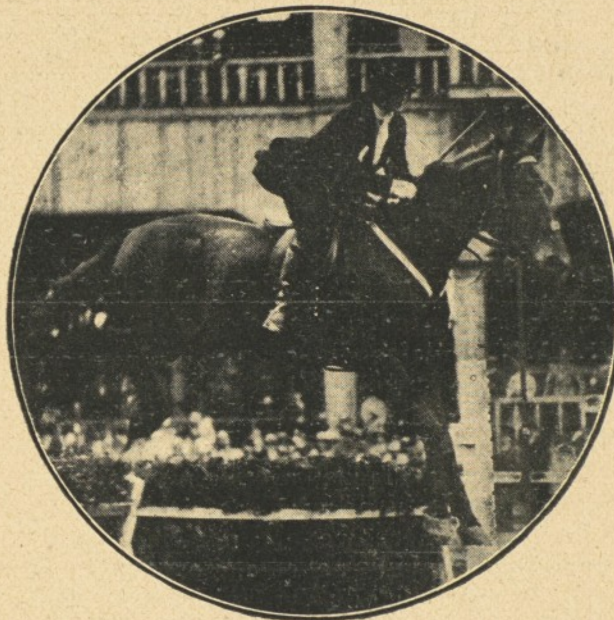


Warszawa nie należy do miast zdrowotnych. Ciężkie wegetacyjne bytowanie przeciętnego pracownika sprawia, że wielki odsetek dzieci w wieku szkolnym zapada na anemję, choroby serca i nerek, a wreszcie dotknięty bywa najstraszliwszym biczem — gruźlicą. Obowiązkiem społeczeństwa jest otoczyć opieką młode rośliny, wyrwać je z izb wilgotnych, dusznych i mrocznych na powietrze i słońce, uchronić je od przedwczesnego cherlactwa. Wynika stąd paląca potrzeba kolonji wakacyjnych, gdzieby za tanie pieniądze dziecko miało wygody, dostatnie odżywianie, wbród słońca, mleka i leśnego igliwia. Kolonja taka została m. in. zorganizowana przed kilkoma laty przy gimnazjum p. Jadwigi Zaborowskiej - Michalskiej z inicjatywy nauczycielki, p. Zofji Żegotta. W r. 1925 kolonja ta spędziła lato w Wielkim Kacku nad Bałtykiem, w. r. 1926 nad Liwcem za Urlami, w ubiegłym zaś r. 1927 w Limanowej na Podkarpaciu, gdzie krakowskie Kuratorjum udzieliło kolonji bezpłatnego lokalu w szkole miejscowej.

Dzięki pewnym wpływom z imprez dochodowych oraz dobrej organizacji opłata była niewielka, a liczne uczennice korzystały ze zniżek. Wyjechało ich przeszło 30 pod opieką nauczycielek pp. H. Gruszczyńskiej, J. Dembowskiej i T. Galewskiej. Kolonje takie znakomicie wzmacniają młode organizmy, uczą dziewczęta poznawać przyrodę ojczystą i miłować gorącej swój kraj, wreszcie zespalają ściślej młodzież z jej opiekunkami na gruncie pozaszkolnym. Oby powstawało ich jak najwięcej.

Dembowska

ZAWODY HIPPICZNE W ŁAZIENKACH

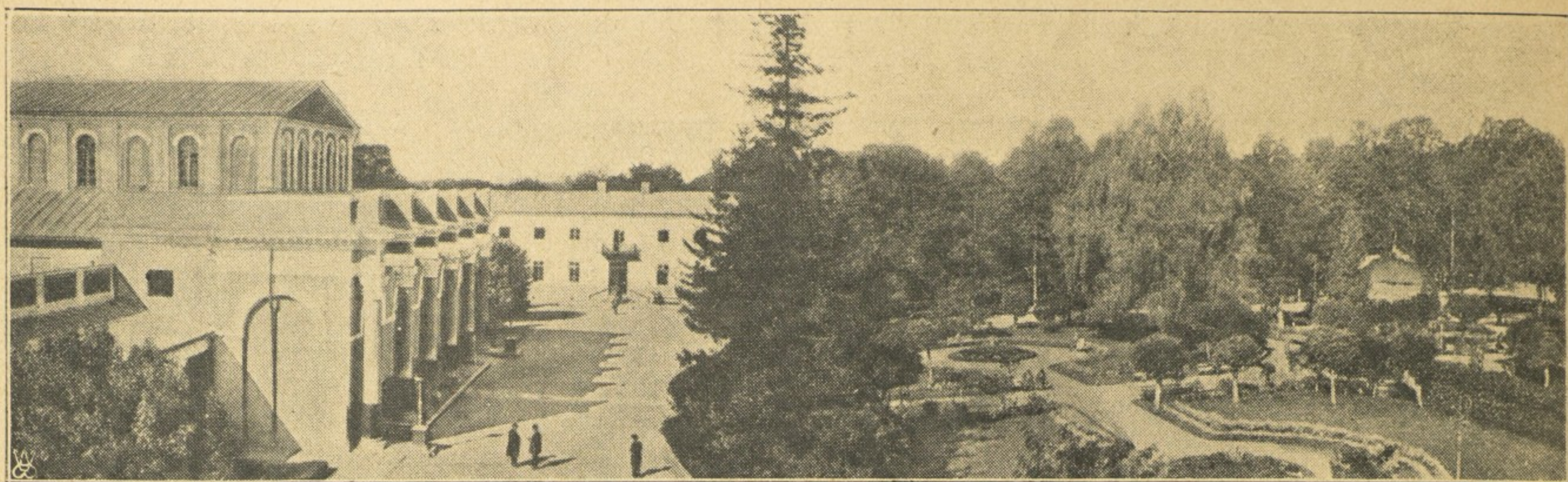


P. Zofja Sikorska, córka gen. Wład. Sikorskich, zdobywczyni nagrody młodocianych. Fot. Światowid

Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Ś. p. Michał Karski, znany działacz katolicki i społeczny, szambelan papieski, zmarł w sile wieku. Zarówno na wsi, w sferach ziemiańskich i włościańskich, jak w Warszawie, w sferach wyższego towarzystwa, a zwłaszcza w sferach wyższego kleru, cieszył się wielkim szacunkiem i sympatją.



Busko—budynek łazienek i park zakładowy

BUSKO—ZDROJOWISKO PAŃSTWOWE

Busko posiada dziewięć źródeł mineralnych artezyjskich o składnikach: siarkowodór, sól kuchenna i bezwodnik kwasu węglowego. Po za tymi składnikami wody buskie zawierają: sól gorzką, sól glauberską, jodek magnezu i żelazo. Wody te są skuteczne, jako pomoc lecznicza przy goścu czy reumatyzmie stawów i mięśni we wszelkich postaciach. Zesztywnienie stawów pozapalne, pourazowe, gościec zniekształcający, podagra, skrofuły, gruźlica chirurgiczna, przymiot w okresach II i III, choroby skórne stare, pozapalne wysięki jamy brzusznej, narządów rodnych i kończyn, przewlekłe zapalenia naczyń i gruczołów chłonnych i ich następstwa — oto lista chorób, znajdujących w Busku kurację. Skuteczność źródeł tej miejscowości nie trzeba specjalnie reklamować. Zaskarbiły sobie one w Polsce wdzięczne uznanie już od r. 1836, gdy otwarto tu zakład leczniczy. Wody buskie leczą również skutecznie choroby układu nerwowego, ischias, wiąd rdzenia pacierzowego, nerwicę serca, nerwicę naczynioruchową, porażenia (paraliże), niedowłady organiczne i histeryczne oraz pozostałości po przebytym przymiocie.

Busko leży w powiecie stopnickim, województwa kieleckiego (183 m. nad poziomem morza). Zakład zdrojowy zajmuje obszerną dolinę, otoczoną wzgórzami od strony północnej położone jest miasto Busko, liczące około 5 tysięcy mieszkańców. Od strony południowej znajduje się kolonja lecznicza dziecięca im. d-ra Józefa Brudzińskiego.

Zdroje siarczano-solankowe w Busku zostały uznane za wysoce kuracyjne nietylko przez nasze krajowe sławy lekarskie. Dla ludzi, potrzebujących zabiegów leczniczych, Busko jest idealną niemal miejscowością kuracyjną.

Obfitość willi pensjonatów, restauracja w domu zdrojowym, pod zarządem Wł. Maciejewskiego, pozwalają na wygodne urządzenie się i to w ramach skromnych środków. Zdrojowisko posiada piękny park zakładowy, obszerny deptak z estradą. Koncerty, teatr, radio — oto codzienne rozrywki. W głównym pawilonie zakładu znajduje się obszerna sala, w której odbywają się reuniony, bale, zabawy.

Zarząd Buska ułatwił na sezon bieżący komunikację. Zakład posiada liczne samochody, dobrych marek, wygodne, a przystępne w cenie, które są zawsze obecne na pociągach w Kielcach. Po za tem do Buska można się kierować na Szczecin (Małopolska); 35 kilometrów końmi, lub od stacji Jędrzejów (za Kielcami w kierunku Sosnowca). Można też koleją wązkotorową do Chmielnika, a ztamtąd 18 kilometrów samochodem lub autobusem kursującym z Kielc do Buska.

Dyrektorem zakładu zdrojowego buskiego jest inżynier Byszewski. Jego niestrudzona energja czyni wszystko, co jest możliwe dla udostępnienia Buska szerokim rzeszom kuracjuszy. Z jego to inicjatywy zdrojowisko zostało zaopatrzone w wygodne auta, czekające przed dworcem w Kielcach. Wysoka bowiem i bezwzględna skuteczność wód tego zdrojowiska, jedynego może w Polsce z tego rodzaju leczniczą właściwością, wymaga by była dostępna jaknajszerszym warstwom społecznym.

Staropolska kultura obyczajów

Staropolska kultura obyczajów w pewnych warstwach społecznych nie stała niżej, niż u narodów sąsiednich. Polacy ogładą towarzyską zawsze się wyróżniali. Byliśmy, przecież „francuzami północy". Wystarczy wziąć do ręki „Dworzanina polskiego", Łukasza Górnickiego, by nasycić ciekawość co do obyczajowej naszej przeszłości. Księga ta niby jest przekładem, adaptacją słynnej włoskiej biblji towarzyskiej „Dworzanina" hr. Baltazara Castiglione. Sam fakt przyswojenia jej mowie naszej świadczy, iż posiadaliśmy tego rodzaju zainteresowania. Treść „Dworzanina" widocznie budziła oddźwięk w psychice polskiej. Łukasz Górnicki w adaptacji swojej zlokalizował djalog do tego stopnia, że miast osób orginału podał nazwiska prawdziwych, wtedy żyjących postaci pp. Wapowskiego, Kryskiego, Myszkowskiego, Bojanowskiego, Kostki, Lupy-Podlodowskiego. Warto też tego „Dworzanina" przeczytać dla polszczyzny.

Anegdoty o Skotnickim i Pukarzewskim, jak wogóle wszelkiego rodzaju powiadzonka imć pana Derśniaka, zasługują na uwagę. Bawią one wcale niegorzej od naszych, współczesnych anegdot. Górnicki poczynił niektóre charakterystyczne zmiany: „w miejsce przytrudniających wymysłów z zakresu muzycznej teorji odwołał się do eksperjencji szlacheckiej w dziedzinie gastronomji". Okazuje się, że dla naszych pradziadów sprawy kuchni były więcej... uduchowione, niż muzyka. Tłomacz „Dworzanina" przerobił mocno różne włoskie „gamracje" i miłosne „przekwinty". Misterne teorje platońskie nie znalazły w nim również orędownika.

Tekst obecnie wydanego „Dworzanina polskiego" ukazał się pod redakcją prof. Romana Pollaka. Wyczerpujący wstęp mówi o znajomości przedmiotu. Gorzej jest z przypiskami. Daje je wydawca i w wypadkach o wątpliwej potrzebie. Niech się jednak nie uważa tą książkę za wydawnictwo szkolne. Warto, by przypomniano sobie jej treść. Inteligentny polak znajdzie w niej wiele umysłowych delicji.

TAM KUPUJCIE!















NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI UBIEGŁEGO TYGODNIA

SEJM I RZĄD.

Szczegółowa dyskusja budżetowa w Sejmie dobiega szczęśliwie końca. Podział czasu pomiędzy kluby okazał się bardzo skuteczny, bo częściowo zahamował krasomówstwo.

W Senackiej Komisji skarbowo - budżetowej przedyskutowano już szereg budżetów. Obrady toczą się rzeczowo, bez niespodzianek.

Konflikt w sprawie badania nadużyć wyborczych został szczęśliwie zlikwidowany przez marszałka Sejmu.

POLSKA I LITWA.

Sprawozdanie o konflikcie polsko-litewskim van Bloklanda przyjęła Rada Ligi Narodów do wiadomości i podkreśliła, że rokowania obu narodów powinny dać skuteczny wynik przed następną sesją Rady.

Aneksję Wilna w konstytucji litewskiej napiętnował p. Chamberlain, jako drażniący akt prowokacji, sprzeczny z życzeniami Ligi Narodów.

Rozpatrzenie skargi litewskiej o sytuacji litwinów w Wileńszczyźnie odroczyła Rada do jesieni. Gotowy już raport uznaje polskie wyjaśnienia za wystarczające.

Waldemaras przekonał się w Genewie, że ma przeciw sobie całą Radę Ligi, nie wykluczając Niemiec. Mimo wszystko upiera się przy Wilnie.

Z NARAD GENEWSKICH.

W sprawie szkół mniejszościowych na G. Śląsku Rada Ligi Narodów przyjęła raport sprawozdawczy, uznający zasadniczo słuszność tez polskich.

Skargę albańską na Grecję odrzuciła Rada w myśl raportu referenta ministra Zaleskiego. Niemcy usiłowały zmienić decyzję, nie podoba się im ukrócenie intryg i międzynarodowego pieniactwa.

Rada Ligi Narodów zakończyła 50-tą sesję. Poza epizodami z p. Waldemarasem tok obrad był tym razem zupełnie gładki.

Do Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie wybrano po raz czwarty przedstawiciela Polski, znowu na 3 lata. Zdobywamy uznanie na światowej arenie.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Rząd p. Poincaré'go zdobył w nowej Izbie votum zaufania ogromną większością. Premjer podkreślał w exposé konieczność współpracy z parlamentem i omówił szeroko międzynarodowe zagadnienia Francji.

Izba francuska wybrała prezydentem p. Fernanda Bouissona. Kontrkandydatem był p. Franklin Bouillon.

Ster rządu Niemiec ma objąć socjalista pos. Mueller. Kandydaturę jego popiera u Hindenburga kanclerz Marx.

Sejm pruski obraduje bardzo burzliwie. Komuniści pobili do krwi prawicowego posła. Przewodniczącym wybrany socjalista Bartels. Do prezydjum wszedł również jeden komunista.

Marszałek Czang-Tso-Lin odniósł ciężkie rany podczas dokonanego nań przy odwrocie armji północnej zamachu. Krążą nawet wieści o zgonie dyktatora.

Na premjera japońskiego dokonano zamachu. Tło prywatne, nie polityczne. Minister wyszedł cało z niebezpieczeństwa.

RÓŻNE.

Zaginiona „Italia" dała znak życia telegrafem iskrowym. Rozbitkowie siedzą na maleńkiej wysepce na północ od Szpicbergu. Ekspedycje ratunkowe mają niesłychanie trudne zadanie.

Redaktor odpowiedzialny ST. KRZYWOSZEWSKI

Druk GALEWSKI I DAU, Warszawa